

Ks. Adolf Bakanowski CR

Moje wspomnienia

1840-1863-1913

Lwów 1913

© Copyright dla wersji elektronicznej: Centrum Duchowości Zmartwychwstańczej w Rzymie, 2009



Gdy opowiadałem w rozmowach towarzyskich i w gronie współbraci zakonnych rozmaite przygody z życia mojego, szczególnie misjonarskiego w Ameryce, proszono mnie nieraz o to, bym je spisał i podał do druku. Nie brałem tego na serio i nie spieszyłem się z tym. W końcu, kiedy zaczęły mnie do tego namawiać z szczerym wyrazem prawdy osoby poważne, także i spoza Zgromadzenia, zabrałem się z całą prostotą odczutyh wrażeń do napisania tych przygód.

Pominałem wiek dziecięcy jako też i młodość, spędzoną w szkołach, gdzie rzuciłem kilka tylko zarysów ogólnych, dla uwydatnienia pierwszych podwalin wychowania w rozwoju charakteru.

Rozpocząłem więc od chwili mojego wyświęcenia na kapłana; następnie opisuję tak, jak zwykle w towarzystwie opowiadałem, udział mój w powstaniu z r. 1863, emigrację, misje i rozmaite przygody w Ameryce, Paryżu, Londynie itd.

Wiedeń, 1908 r.

Pięćdziesięcioletnia rocznica naszego powstania, do którego i sam niejako należałem, jest zarazem pięćdziesięcioletnim jubileuszem mojego kapłaństwa.

Proszono mnie więc, abym teraz ogłosił drukiem swoje „Wspomnienia”, które przed kilku laty spisałem.

Nie myślałem nigdy o wydaniu ich za życia mego, a rękopis oddałem jednemu z Ojców Zgromadzenia, z prośbą, aby go wydał po mojej śmierci. Kiedy jednakże i mój władza zakonna poleciła, aby te „Wspomnienia” właśnie teraz ogłosić, jako w podwójną rocznicę: powstania i kapłaństwa, zdecydowałem się zadośćuczynić prośbom i naleganiom życzliwych mi osób.

Lwów, w styczniu 1913.

X. *Adolf Bakanowski*

I

Młodość. Świecenia kapłańskie. Wyjazd z kraju.

„Młodość, Mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przemienie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały.”

(Kraśiński do K. Koźmiana, 1855r.)

Słowa te naszego poety może sprawdzić każdy, kto zechce wniknąć w swoją młodość i śledzić bieg życia swojego. Młodość, spędzona w karności należytego wychowania, jest skarbem nieocenionym... to pewny zasób do przyszych różnorodnych walk, tak powszechnych w życiu ludzkim. Karność w młodości stanowi pewny fundament w rozwoju charakteru i rozstrzyga niemal o całym losie człowieka. W młodości bowiem wszystko takie świeże, szczerze, proste, pełne siły i życia, a jakże bywa zależnym od tego, w jakim kierunku to życie zaczyna tryskać!

Nie wiem, ile i jak skorzystałem z tych pierwszych zasad, ale to pamiętam, że w surowej karności wychowywała nas matka, budząc energię do panowania nad sobą. Nigdy żadnych pieszczot ani sama, ani komu innemu z nam nie pozwalała. Karciała surowo wszelkie pokrzywdzenie sióstr, tłumacząc, że brat jest opiekunem siostry i powinien jej okazywać szacunek. A kiedyśmy się n. p. sprzeczali o miejsce przy stole, rozbierała nas uwagą: „Twoje miejsce na cmentarzu, stamtąd nikt cię nie ruszy.”

Dziwnym to wszystko mi się wydawało, nie pojmowałem tego, i nieraz po kryjomu utyskiwaliśmy nad brakiem miłości ku nam. Dzisiaj wdzięczność mam za to wszystko przechowuję szczególną, gdyż tym sposobem ułatwiła mi matka drogę do życia zakonnego. Zaznaczam jeszcze i to, że po każdym naszym dobrym postępku otrzymywaliśmy zawsze stosowne pochwały.

W czasie, kiedy już trzeba było wybrać sobie jakiś zawód, w którym miałem służyć społeczeństwu, długo zastanawiałem się nad tym, który z dwóch stanów mam wybrać: żołnierski czy kapłański; o innym nigdy nie myślałem. Kapłan i żołnierz od dziecka na przemian walczyli w mym sercu... Wreszcie ta refleksja, że niema wojska polskiego, przerzuciła mnie ostatecznie na drogę kapłaństwa, i wstąpiłem do seminarium w Kamieńcu Podolskim w r. 1856.

Kiedy już byłem klerykiem, pojechałem zaraz po pierwszym roku mojego pobytu w Seminarium, na wakacje do rodzinnego domu. Rodzice, jako też i całe rodzeństwo, witali mnie serdecznie, ciesząc się widokiem syna i brata w sukni duchownej. W parę dni potem przyjechał ks. Proboszcz, i, jak zwykle w podobnych razach, wieszował rodzicom! życząc błogosławieństwa Bożego i chluby z syna. Zaraz też zaproponował mi, bym na niedzielę przygotował się z kazaniem. Na próżno wymawiałem się tym, że nie potrafię, że dopiero pierwszy kurs skończyłem w Seminarium, gdzie jeszcze kaznodziejstwa nie uczą, i t. p. Nic to wszystko nie pomogło; ks. Proboszcz wciąż nalegał, a rodzina cała zachęcała, bym koniecznie kazanie powiedział. Zabrałem się więc do roboty, ale z ciężkim mi to szło trudem. Podręczników nie miałem żadnych, a wysnuć z głowy całe kazanie zdawało się niemożliwym. W końcu zabraliśmy się do roboty wszyscy, to jest: ojciec, siostra i ja. Piszemy, przerabiamy, poprawiamy, aż wreszcie kazanie gotowe. W parę dni nauczyłem się na pamięć i już czekam śmiało. Wszystkim na wsze strony trąbią o młodym kaznodziei i zapraszają na posłuchanie jego kazania. Otóż i niedziela; dzwonią na sumę; lud skrzętnie się gromadzi, a znajomi w powozach zajeżdżają przed kościół. Kiedy już suma się zaczęła, przechadzałem się, dla nadania sobie otuchy, samotny po dziedzińcu kościoła, powtarzając w pamięci kazanie. Aż oto zjawia się ksiądz wikary i pyta, czy w wielkim jestem strachu? Na moją twierdzącą odpowiedź taką mi daje radę: „Masz jeszcze 15 minut czasu; nie powtarzaj już kazania, ale chodź naokoło kościoła i mów śmiało do siebie: Wszyscy są niemądrzy, tylko ja sam rozumny.” Snadź pomogło to do odpędzenia strachu, gdyż z niezwykłą brawurą wypowiedziałem to pierwsze moje kazanie.

Pozwolę tu sobie dodać jeden charakterystyczny objaw męskiej moralnej siły mojej matki. W czasie mego pobytu w Seminarium matka umarła. Kiedy przed śmiercią ojciec mój zaproponował jej, czy nie chciałaby widzieć się ze mną, a wnet zatelegrafowałby po mnie, - odpowiedziała tonem stanowczym: „Jeżeli Pan Bóg tak zrzędził, że umieram w czasie, kiedy on z Woli Bożej jest gdzieindziej, na wzywanie go tutaj nie pozwalam, tylko masz mu donieść o mojej śmierci, i niech pamięta o mej duszy.” - Zlecenie to zakomunikowałem swojemu ks. Rektorowi jako też i innym kapłanom; wszyscy oni byli bardzo tym zbudowani i odprawili Mszę św. za jej duszę.

Po wyświęceniu na kapłana przez ks. Biskupa Fiałkowskiego w dniu 24. maja 1863 r. pozostałem na razie w Kamieńcu bez żadnej stałej posady. Czuję w sobie pewną zdolność kaznodziejską, jednakże i w tym zawodzie pragnąłem się lepiej wykształcić. Potrzebowałem odpowiednich studiów, a w kraju nie miałem już żadnych ku temu widoków. Nauki w

Seminarium skończyłem, a po dwuletnim pobycie w Akademii petersburskiej zachorowałem, i z porady lekarza musiałem powrócić do kraju. Po wyzdrowieniu zaś, ks. Biskup nie pozwolił już jechać powtórnie do Petersburga. Wtedy po raz pierwszy powziąłem myśl wyjazdu za granicę celem dalszych studiów. Ale i ta myśl pokrzyżowała się z wybuchem powstania. Niedaleko Kamieńca w majątku pewnej wdowy, niejakiej pani Podłuskiej, formował się nowy oddział powstańców, który miał przyłączyć się do pułku Wysockiego. Potrzebowali oni tam kapelana, któryby od zaciągniętych w szeregi powstańców odbierał przysięgę. Zapał, wiara w pomyślność powstania była powszechną; nikt z nas o zwycięstwie nie wątpił.

Po wyświęceniu się na kapłana, jak to wyżej wspomniałem, nie miałem jeszcze przeznaczonego sobie miejsca do pracy. Ks. Biskup dał mi urlop na sześć tygodni, abym po studiach nieco odpoczął. Kiedy już zabierałem się do podróży w strony rodzinne, przybyli do mnie, do seminarium, dwaj panowie z propozycją przyjęcia kapelanii w obozie powstańców. Młody, z żywą jeszcze werwą żołnierską, chętnie Ona to przystałem, i tegoż dnia, zamiast do rodziny, wraz z nimi pojechałem do ich obozu. Uczyniłem to w sekrecie przed Biskupem, jako też i całym moim otoczeniem. Do ojca mojego napisałem list, donosząc mu, dokąd pojechałem i dlaczego tak uczyniłem.

We dworze p. Podłuskiej, gdzie się formował nasz obóz, było nas wszystkich dziesięciu organizatorów. Buch przyjeżdżających i odjeżdżających prawie że nieustanny; wszyscy wraz ze służbą zaprzysiężeni. Działo się to jawnie wobec Moskali; widoczna, milczeli dlatego, aby tern pewniej nas wszystkich potem uwięzić. Myśmy tymczasem tryumfowali ze swoich powodzeń, wróżąc przyszłość Polski. Wtem dowiadujemy się, że Różycki na Wołyniu zorganizował swój oddział i szczęśliwie przeszedł do Galicji, skąd po wzmocnieniu swych sił, powtórnie miał wkroczyć na Wołyń nasz oddział, jak to wyżej wspomniałem, przygotowywał się do obozu Wysockiego, który z Galicji miał wkroczyć na Podole. Byliśmy już na pogotowiu, gdy oto z nagłą gruchnęła wieść, że Wysocki pod Radziwiłłowem został pobity i z małą garstką cofnął się do Galicji. Rozczarowanie, smutek ogarnął nas straszny. Co teraz począć! Co z nami będzie! Austria z początku wszystkie te ruchy tolerowała; gromadziły się kadry powstańców, odbywały się musztry, i zbrojnie, choć ukrycie, przechodzono na stronę rosyjską. Wysocki jak i Różycki swobodnie przeszli granicę. Potem, po nieudaniu się powstania, Austria zaczęła internować.

Po rozbiciu Wysockiego poznaliśmy wszystkie trudności i grożące nam niebezpieczeństwo. Nie było już innej rady, jak pojedynczo przekradać się do Galicji i tu przyłączyć się do powstańców, wyruszających do Królestwa. Wiedziałem, że dłużej już we dworze p. Podłuskiej pozostać nie mogę, że muszę stąd wyjechać. W końcu i to zauważyłem, że opanował już tam wszystkich próżny upór, chęć chwały przed światem, iż zorganizowali swój własny oddział pod chorągwią p. Podłuskiej, i w tej przechwałce zapędzali się na wyraźne niebezpieczeństwo. Postanowiłem przeto wszystko to zakończyć i póki jeszcze czas, jak najprędzej odjechać. Urlop moich wakacji już się kończył, skorzystałem z tego i odjechałem do Kamieńca.

Smutno mi było bardzo po takim rozczarowaniu; widziałem jasno, że z tego powstania, przynajmniej tu u nas, już nic nie będzie, i żal mi było tych ludzi, co nam zaufali.

Po powrocie do Kamieńca sądziłem, iż to wszystko uszło uwagi policji, i że teraz swobodnie będę mógł pracować w diecezji.

Na razie Biskup zatrzymał mnie przy katedrze, gdzie, prócz zwykłych obowiązków kapłańskich, miewałem kazania.

W jednym z nich nieroztropnie zapędziłem się w uczuciach patriotycznych, o czym wnet doniesiono Gubernatorowi.

Biskup, zapobiegając ukaraniu policyjnemu, zawiadomił Gubernatora, że mnie już ukarał i odsyła na wikariusza do Baru, pod surową kontrolę tamtejszego proboszcza. Jednak i tam nie mogłem długo pozostać.

W kancelarii Gubernatora miałem znajomego urzędnika, szczerze mi życzliwego, który z Kamieńca do Baru wysłał specjalną sztafetę, radząc, bym czym prędzej uciekał za granicę, gdyż już wyrok podpisany, by mnie uwięzić i wywieźć gdzieś w głąb Rosji na czas nieokreślony. Stało się to wskutek aresztowania wszystkich we dworze p. Podłuskiej.

Sztafetę otrzymałem o godzinie 8. wieczorem. Było to w chwili, gdy ks. proboszcz był u mnie i grał na skrzypcach, a jeden z gości wtórował mu na fortepianie. Poselstwo to, jak i całą sprawę, zachowałem wobec mojego otoczenia w zupełnej tajemnicy.

Na zapytanie proboszcza, co to się stało, odpowiedziałem, że jakaś ważna sprawa nagli mnie, bym wnet pojechał do sąsiedniego obywatela. „Pewno ktoś zachorował”, zagadnął proboszcz, „trzeba się spieszyć.”

Zaraz też nająłem furmankę i bez żadnych pakunków wyruszyłem w drogę. Wiedziałem o tym dobrze, że ów obywatel sąsiedni należał także do Rządu Narodowego; do niego więc spieszyłem.

Przybyłem na miejsce po godzinie 10-tej w nocy. Gdym opowiedział cel mojego przyjazdu, zaraz kazał zaprząć konie do swojego powozu, i w tajemnicy ruszyliśmy dalej do dalszego sąsiada. I tak wciąż, dalej i dalej, aż wreszcie zatarłem wszelki ślad za sobą. W drodze zmieniłem ubranie, i, po cywilnemu, jechałem aż do samej granicy. W niektórych miejscach ukrywałem się po kilka dni w dworach, czekając na bezpieczniejszą sposobność.

Podróż ta, na tak małej przestrzeni, którą można było odbyć we dwa dni, trwała dwa tygodnie. Wreszcie, w nocy, z ostatniej wioski niedaleko Zbrucza, w pobliżu Husiatyna, wyruszyłem piechotą wraz z najętym przewodnikiem. Szliśmy tak obaj wśród ciemnej grudniowej nocy z jaką godzinę nad brzegiem Zbrucza, szukając odpowiedniego przejścia.

Byłem już w końcu zniecierpliwiony taką jego mitręgą i zapytałem, dlaczego tak długo bląkamy się i nie przechodzimy na drugą stronę. „Chodź pan za mną”, odrzekł, „szukam bezpiecznego przejścia”. – „A gdy poczną strzelać, co wtedy zrobimy?” – „Bądź pan spokojny, nie trafią.”

Nieprzyjemną mi była taka odpowiedź, to też nie namyślając się dłużej, pierwszy wskoczyłem do wody. Rzeka była cienkim lodem pokryta, więc brnęliśmy po pas w zamrzniętej wodzie; co krok załamywał się lód pod nami. Dochodząc już do brzegu, po drugiej stronie zobaczyłem stojącego strażnika z karabinem w ręku, który nas widział i czekał nad brzegiem.

Zatrzymałem się w wodzie z obawy, by mnie nie aresztował. - Mój przewodnik podszedł do niego, coś mu po cichu powiedział, a on nas puścił wolno. - Wprost potem zmierzamy do przyległej wioski, do dworu, gdzie jeszcze widzieliśmy światła w oknach. Byłem zdziwiony, dlaczego tak późno świeci się we dworze, bo godzina była już 3-cia po północy.

Przy wejściu dowiedziałem się, że właśnie mnie oczekiwano.

Cała bowiem ta przeprawa była pod opieką Rządu Narodowego, który mnie tu skierował do obywatela Pajgerta.

Gdy nazajutrz, po dobrym wypoczynku, p. Pajgert zapytał mnie, co zamysłam z sobą dalej począć, odpowiedziałem, że chcę być wolnym, w pomyślność powstania już nie wierzę, że proszę o konie do Husiatyna, tam się przedstawię ks. Proboszczowi. Wtedy p. Pajgert podał mi do podpisania oświadczenie, iż dobrowolnie zrzekam się dalszej jego opieki i że wszystkie następstwa biorę na własną odpowiedzialność. Pojechałem więc do Husiatyna, i przedstawiłem się ks. proboszczowi. Ten, widząc mnie w świeckim ubraniu, bez żadnych świadectw, zrazu począł powątpiewać o prawdziwości mego opowiadania i niechętnie widział mnie u siebie. Kiedy potem w całej prostocie znowu mu wszystko powtórzyłem, uwierzył w końcu i życzliwie mnie ugościł.

Posłałem zaraz po krawca, by mi uszył rewerendę, a tymczasem ks. proboszcz pożyczył mi swojej. – W owym czasie wyszło już było rozporządzenie od Rządu austriackiego, by wszystkich, z tamtych stron przybyłych, internować i pod eskortą wywozić do Ołomuńca,

Königsgrätz, lub do innych fortec, gdzie by pozostawali aż do zupełnego uśmierzenia powstania. Wobec tego nie było innej rady, jak samemu oddać się dobrowolnie, z jakąś przecież nadzieją, że tym sposobem łaskawiej ze mną postąpią. Poszedłem więc razem z ks. Proboszczem do naczelnika powiatu. Po spisaniu ze mną protokołu naczelnik oddał mnie, jako już internowanego, pod opiekę proboszcza, a protokół odesłał do Namiestnika Mensdorffa. Na prośbę naszą dodał od siebie naczelnik życzliwe wyrazy, bym mógł i nadal pozostać pod opieką tegoż proboszcza. Jakoż przyszła odpowiedź przychylna pod tym jednym warunkiem, że ks. Arcybiskup przyjmie mnie do swojej diecezji. Ucieszyłem się z tego niezmiernie i wnet napisałem prośbę do ks. Arcyb. Wierzchlejskiego. W liście swym prosiłem go, by mi na razie przeznaczył jakiegokolwiek miejsce, choćby na krótki przeciąg czasu. Przy tym opisałem całe moje przejście, jak się tu dostałem, kiedy wyświęciłem się na kapłana, i że, prócz słowa mojego, nie mam żadnych świadectw na potwierdzenie mych wyznań. Ks. Arcybiskup łaskawie mi odpowiedział, a życzliwie przychylając się do mojej prośby, przeznaczył miejsce na wikariusza w Trembowli. Drogą urzędową wysłał mi odpowiednie papiery, a jak zwykle w podobnych razach, z całą jurysdykcją diecezjalnego kapłana. Tym sposobem miałem już swoje papiery, i mogłem myśleć o dalszych swoich planach, t. j. o podróży do Rzymu, by tam wstąpić do jakiego zakonu.

Ale wobec takiej szlachetności ks. Arcybiskupa nie podobna było zaraz korzystać z tych papierów; należało wprzód odwdziaczyć się za to, i służyć jakiś czas w jego diecezji. Zaraz więc po otrzymaniu obediencji i jurysdykcji pojechałem do przeznaczonego mi miejsca.

Proboszczem w Trembowli był wówczas ks. Kucharski, wikary uszami ks. Stachów i ks. Motykiewicz.

Widoczna, Pan Bóg miał inne dla mnie plany, gdyż niedługo tu przebywałem: zaledwie parę miesięcy.

Naczelnik miejscowy, nie wiadomo z jakich powodów, doniósł do Namiestnika, jakoby w jednym miasteczku miał kazanie, podburzające do powstania. Po dochodzeniu tej plotki przez Starostę tarnopolskiego, okazało się wszystko fałszem, i ja pozostałem nadal. Wkrótce znowu zakomunikował fałszywy donos, że m niespokojny, podburzam ludzi i t. p. Wtedy Namiestnik Mensdorff w przypuszczeniu, że musi być w tern coś prawdziwego, kiedy znowu się powtarza, kazał mnie pod eskortą odesłać do Lwowa. Było to w samą Wielką Sobotę, kiedy przyszedł komisarz, by mnie aresztować. Nie pomogły nic protesty mojego proboszcza, musiałem zaraz jechać do Tarnopola.

Ks. proboszcz zatelegrafował o całym tern zajściu do ks. Arcybiskupa. W drodze zauważył komisarz, że w uroczystość tak wielką, jak Wielkanoc, nie wypada kapłana wieźć dalej lub trzymać przez Święta w więzieniu, więc zawiózł mnie do Ojców Jezuitów w Tarnopolu, i oddał pod ich opiekę. Przygotowywała się właśnie procesja rezurekcyjna, gdym do klasztoru przybył. Po dwudniowym gościnnym pobycie u Ojców Jezuitów, wyruszyłem dalszą podróż do Lwowa. Przyjechałem na miejsce późnym wieczorem, i wprost z dworca odwieziono mnie do zwyczajnego więzienia kryminalistów. Gdym spożył tamże najprostszą wieczerzę, zamknięto celę moją na klucz, i tak, na prostym tapczanie, pokrytym siennikiem ze słomy, spędziłem noc całą. Nazajutrz, około 8. godziny, stróż więzienny otworzył drzwi, wszedł do mnie i zapytał, co życzę sobie mieć na śniadanie... Przyniósł mi kawę, po czym odszedł, i znowu drzwi zamknął na klucz. Dziwna rzecz! - pomyślałem, - umknąłem kazamatów moskiewskich, a dostałem się do austriackich; chyba w tern jakaś wróżba, że ja kiedyś będę poddanym austriackim, a Galicja polem mojego działania.

Wreszcie około godziny 11. usłyszałem znowu stąpanie na korytarzu, uderzenie klucza o zamek moich drzwi, które się otworzyły, i ukazał się urzędnik w mundurze. Po przywitaniu się rzekł, bym się ubierał i szedł z nim do biura. Wyszliśmy z więzienia, a oto przed bramą czeka fiakier, do któregośmy wsiedli i odjechali. Jakież było moje zdziwienie, kiedyśmy stanęli przed pałacem ks. Arcybiskupa, gdzie mnie urzędnik ów oddał pod jego opiekę. Tu

dowiedziałem się, że wskutek telegramu ks. proboszcza, sam Arcybiskup poszedł do Namiestnika i uwolnił mnie z więzienia. - Cały tydzień mieszkałem u niego, łamiąc się z trudnościami w dostaniu pieniędzy na drogę do Rzymu. Miałem zawsze to poczucie, że powinienem wstąpić do jakiegoś zakonu i oddać się studiom kaznodziejskim.

Dominikanie i Jezuita na przemian świecili w mojej wyobraźni.. Kiedy przemyślałem nad tem, skąd by otrzymać pieniędzy na podróż, aż oto pewnego dnia zawiadania mnie lokaj, że jakiś pan chce się ze mną widzieć. Ów pan, wręczył mi w imieniu Rządu Narodowego 300 fl. na drogę do Rzymu. Mogłem więc już jechać. Ks. Arcybiskup wyrobił mi paszport, miałem też od niego wszystkie świadectwa kapłańskie, i tak w zupełnym porządku wyjechałem do Rzymu.

W Wiedniu spędziłem dni kilka i byłem li Nuncjusza. Potem pojechałem do Tryestu, stamtąd do Ankony. Z Ankony zoczyłem do Loreto, gdzie w domku Najśw. Maryi Panny odprawiłem Mszę św. Loreto! Ileż tu wzniosłych, uroczystych wspomnień! Tu, w tym Domku mieszkała Matka Boża, tu Słowo Przedwieczne stało się Ciałem. Domek ten stał się świętym skarbem przymierza Boga z ludźmi. Pokorna Niepokalana Dziewica stała się Matką Stwórcy Swojego. Cud cudów wszechmocności Bożej, Jego niepojętej miłości ku ludziom! Z drżeniem serca wstępuje się w te progi, gdzie nad drzwiami wyryte są słowa: „Niech nikt nie odważa się przestąpić tych progów w grzechu śmiertelnym”.

A któż jest tego pewnym, że go nie ma, choć na razie sumienie tego wyraźnie nie twierdzi? To też z pokornym uczuciem, ze skrucą w sercu odprawiłem w nim Mszę św., dziękując Niebu za tak wyraźną dotychczasową opiekę i prosząc gorąco, bym we wszystkim spełniał Wolę Bożą i podług tej Woli obrał sobie zakon. Tam, w tym Domku, oddałem się pod opiekę Matki Najświętszej. Z żywą wiarą, iż los mój przyszły już jest zapewniony, stąd pojechałem wprost do Rzymu i stanąłem w hotelu „Minerva”, w pobliżu klasztoru OO. Dominikanów.

II Rzym.

Czyż mam opisywać wrażenie, jakie Rzym na mnie zrobił? Któż go dziś nie zna, choćby tylko z opisów podróżujących! To jedyne na świecie miasto, gdzie każdy katolik czuje się jakoby u siebie, w swoim rodzinnym mieście! Takie tu wszystko kochane od dziecka, takie drogie, serdeczne, - wszystko się przypomina i wita z miłością.

Po kilkudniowym pobycie w Rzymie najpożądańszą moją myślą było widzieć Ojca św. być u niego na audiencji i otrzymać błogosławieństwo. Ale nie tak to łatwo, gdy się nie zna nikogo; trudno, prawie nie podobna bez rekomendacji być przypuszczonym do apartamentów papieskich. Poznałem wkrótce innych kapłanów Polaków, również, jak ja, emigrantów. Było nas wszystkich spora nawet liczba, bo aż 36, z różnych krain Polsk.' Rozrzućeni po całym Rzymie, umyśliliśmy podać prośbę do Ojca św., by nam raczył przeznaczyć jakieś czasowe schronienie, dom lub gospodę, gdzie byśmy mogli choćby tylko mieszkać, a stołować się gdzieindziej. Nikt z nas bowiem nie był na tyle zamożny, aby bez cudzej pomocy mógł się w Rzymie utrzymać. Odprawialiśmy po rozmaitych kościołach Msze św., za które mieliśmy stosowne wynagrodzenie, ale to jeszcze nie wystarczało na całkowite nasze utrzymanie. Uradziliśmy więc wspólnie, by podać prośbę do Ojca św., i w tym celu prosiliśmy o audiencję.

Wkrótce przyjął nas Pius IX. na osobnym posłuchaniu i przeznaczył nam na mieszkanie wraz z obiadem dom gościnny, nazwany „Trinità dei Pellegrini”.

Było to dla nas wielkie m dobrodziejstwem; mieliśmy bowiem już mieszkanie i obiad, resztę łatwo mogliśmy sobie zaradzić z przychodów mszalnych. Mieszkaliśmy już odtąd

wszyscy 36 razem. Mając już jakiś kąć zapewniony, łatwiej każdy z nas mógł myśleć o dalszych swoich losach.

Po kilku miesiącach porozejeżdżali się ci kapłani w rozmaite strony, najwięcej do Paryża, gdzie przeznaczono ich do miejscowych kościołów dla posług parafialnych.

Mieszkając w „Trinità dei Pellegrini”, wciąż namyślałem się nad wyborem zakonu, do którego chciałem wstąpić. O Ojcach Zmartwychwstańcach najmniej myślałem, bom ich wcale nie znałem. Teraz co dzień słyszałem, jak otoczenie moje najróżnorodniejsze rzucało na nich potwarze. Wiedziałem to dobrze, jak ślepo uprzedzoną była nienawiść do nich, bez żadnych jasnych wyraźnych ku temu dowodów, zwłaszcza do O. Kajsiewicza, za ogłoszony w gazetach list jego otwarty „Do braci kapłanów spiskujących”. Nazywali ich szpiegami, moskiewskimi żandarmami i t. p. Wszystko to obudziło we mnie szczery, głęboki dla tych Ojców szacunek. Odezwać się w ich obronie nie mogłem, gdyż wiedziałem dobrze, że sprawę jeszcze bardziej pogorszę, a nadto mogliby mnie jako zdrajcę wypędzić ze wspólnego mieszkania.

Roztropniej zatem było... milczeć. Pewnego dnia odwiedził nas O. Kajsiewicz i przyniósł od siebie zapomogę w sumie 500 fr. Prawie wszyscy uchylili się od przyjęcia go, zaledwie kilku go przywitało. Po odejściu jego powstał krzyk, oburzenie; wołano, po co tu przyszedł, może na przeszpiegi, i chciano mu zwrócić zaraz owe 500 franków. Nie wiem, jak w końcu zrobili, gdyż zwykle wobec mnie trzymali się w tajemnicy. Dotąd, jak już wspominałem, nie myślałem o wstąpieniu do Ojców Zmartwychwstańców, ale ten gniew przeciwko nim i miotanie obelg tak podziały na mnie, że postanowiłem bliżej ich poznać z zamiarem wstąpienia do nich.

Tym więcej mi imponowali ci Ojcowie, że na te wszystkie obelgi milczeli, nigdy nic nie odpowiadali. Prosiłem więc O. Semenę o danie mi rekolekcji, i w tym celu przeniosłem się do nich. Nauki O. Semenki niezwykle zrobiły na mnie wrażenie. Pierwszy to raz byłem tak oświecony i ogrzany życiem nadprzyrodzonym. Po skończeniu rekolekcji już bez wahania oświadczyłem chęć wstąpienia do nich, i zaraz byłem przyjęty, nie wracając wcale do „Trinità dei Pellegrini”.

Przeniosłem się tedy na via Paolina, koło Bazyliki Matki Boskiej, tak zwanej Śnieżnej, gdzie był wówczas nowicjat. Magistrem naszym był sam O. Kajsiewicz, ówczesny Generał Zgromadzenia.

Po ukończeniu nowicjatu pozostałem jeszcze w Rzymie dwa lata i chodziłem na wykłady teologii dogmatycznej do Uniwersytetu „Sapiencji”, celem otrzymania stopnia doktora. Tak więc wszystko ułożyło się szczęśliwie: Zakon podług pragnienia mojego obrany, studia odbywam dalej, wszystkie marzenia zostały uwieńczone.

W czasie jednego lata przyjechał do Rzymu pewien ks. proboszcz z diecezji żytomierskiej. Chodziliśmy zwykle razem po Rzymie, i byłem mu przewodnikiem, tłumaczem. Humorysta niepospolity, śmiał się i żartował z Włochami, gdyśmy co kupowali w sklepach. Mówił zawsze do nich po polsku, a targu dobijał chwytaniem za dłoń i zamasyście w nią uderzając. Wszystko to czynił z takim humorem serdecznej niby to przyjaźni, że Włoch, rozbawiony, w końcu oddawał mu rzecz za wytargowaną cenę. Niekiedy, gdy przyszedł do sklepu, twierdził w oczy Włoszce, że ona jest ciężko głupia, a ta, nic nie rozumiejąc, potakiwała głową, myśląc, że jej coś życziwego prawi.

Pewnego razu, będąc zmęczeni zwiedzaniem Rzymu, wstąpiliśmy do kawiarni, aby się nieco posilić. Usiedliśmy przy stoliku i pili kawę. Niedaleko nas, przy innym stoliku, siedziała jakaś pani, wykwintnie ubrana, a przy niej mała dziewczynka, zapewne jej córeczka. Z rozmowy naszej poznała, żeśmy cudzoziemcy. Po chwili, zbliżywszy się do nas, przystąpiła do owego ks. Proboszcza i piękną francuską mową prosiła go o wsparcie, tłumacząc się tym, że przypadkiem znalazła się w krytycznym położeniu. On, nie tracąc swojej zwykłej fantazji, z całą nastrojoną powagą odpowiada jej po francusku: „Pani! Wobec mojego Biskupa

(wskazując na mnie) nie wypada mi dawać jałmużny, ale proszę zwrócić się do Ekscelencji; Wiem, jak on hojnie bywa miłosierny!” W jednej chwili już ona klęczała przede mną. Na próżno tłumaczyłem jej, że to jest żart, że przecież może to sama poznać, gdyż nie mam żadnych odznak biskupich.

On na to prawi jej dalej, że jestem tu w Rzymie incognito jako Biskup, ale on wie o tym najlepiej, gdyż jest moim kapłanem. Po tym zapewnieniu wyszedł z kawiarni tłumacząc się tym, że idzie załatwić jakiś tam, zlecony przeze mnie, interes. Znalazłem się w przykrym położeniu. Przede mną ta pani z pewną nadzieją hojnej jałmużny i należytość za kawę, a w kieszeni nie miałem ani grosza. Kiedy tak zakłopotany przemyślałem, jak wyjść z tego labiryntu, aż oto, zjawia się mój rzekomy kapłan. Wtedy, oddając mu pięknem za nadobne, odzywam się do niego, już jako do swojego kapłana: „Proszę, dać tej pani 10 fr. i zapłacić kawę”.

On wtedy wyjął z kieszeni pieniądze i podług rozporządzenia obie sprawy załatwił.

Niekiedy figle i żarty jego, jakie wyprawiał Włochom, a zwłaszcza Włoszkom, były zanadto swobodne i rubaszne, tak, że ktoś zadenuncjował go do Kardynała, generalnego, wikariusza Ojca świętego. Kardynał polecił więc O. Kajsiewiczowi, żeby mu dał kilkodniowe rekolekcje. Nie pamiętam, dlaczego O. Kajsiewicz oddał go do Ojców Misjonarzy. - Ale snadź i tam nie opuściła go wesoła humorystyka. W czasie tych rekolekcji napisał list do swojego Biskupa z prośbą, żeby go ratował, gdyż masoni podeszli go chytrze i trzymają w więzieniu swojej loży. Biskup, zdziwiony taką wiadomością, napisał list do O. Kajsiewicza, prosząc o wyjaśnienie sprawy. O. Kajsiewicz w odpowiedzi rzecz całą wyjaśnił, a ks. proboszcz na zapytanie, dlaczego tak napisał, odpowiedział, że „wtedy rozmyślał o piekle i przedstawiał sobie, że się znajduje w loży masońskiej”.

W tym czasie zasłynął cudami obraz Najśw. Maryi Panny w miasteczku Vicovaro, niedaleko Rzymu.

Urządziliśmy doń pielgrzymkę. Było nas 6 kapłanów, w liczbie tej i ów proboszcz. Rychło rano, po odprawieniu Mszy św., wyruszyliśmy piechotą. Po drodze odmawialiśmy pacierze nasze lub śpiewali pieśni pobożne, on zaś zwyczajem swoim wciąż żartował i figle płatał. Kiedyśmy mu zwracali uwagę, że przynajmniej teraz powinien tych żartów zaprzestać, odpowiadał nam, że we Włoszech tak powszechnie dzieją się cuda, że trudno temu uwierzyć, aby one były prawdziwe. Na zapytanie nasze, po co z nami idzie, odrzekł: „By was przekonać, iż żadnych cudów niema; będę was bronił przed halucynacją”. Wieczorem o godz. 8. stanęliśmy w Vicovaro. Kościół jeszcze był otwarty, pomodliliśmy się przed cudownym obrazem, następnie udaliśmy się do sąsiedniej oberży na nocleg. - Obraz znajduje się w wielkim ołtarzu, który od ściany oddalony jest o parę kroków tak, że można go obejść wokoło. Nie wiadomo, jakiego malarza, przypuszczają, że jakiegoś Włocha. Twarz Najśw. Panny piękna, jak rzadko gdzie widzi się podobną, w postaci modlącej się, z rękami na wpół otwartymi, nieco wzniesionymi, jak przy modlitwie. Oczy patrzą w górę. Cuda dzieją się zwykle w czasie Mszy św., i to tylko od konsekracji do komunii kapłańskiej.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, przyszedliśmy do kościoła. Kiedy jeden z nas odprawiał Mszę św., pięciu innych klęczało tuż przed ołtarzem, na sporządzonym umyślnie dla kapłanów klęczniku. Cuda, jakie się działy w czasie Mszy św., widzieliśmy wszyscy, również i cała publiczność, która swój zachwyt wyrażała długimi, głośnymi westchnieniami. Twarz M. Boskiej miała zwyczajnie wyraz słodki, łagodny, kolor jej świeży, jakoby pięknej, młodej dziewczycy. Patrzymy, aż oto nagle twarz się zmienia, przybiera kolory tęsknej bladeści, oczy już zupełnie podniesione w górę; widać, jak się modli. Za chwilę już się patrzy na kościół, na ludzi; twarz znowu się mieni, oto już patrzy na ołtarz, na kapłana, zmieniając wciąż kolor twarzy. Wreszcie porusza rękami, to je składa, jakoby do modlitwy, to znowu rozszerza, jak były poprzednio. Każdy z nas to widzi i potrąca jeden drugiego na potwierdzenie widocznego cudu. Lud wzdycha głośno i wołaniem potwierdza swoje widze-

nie; a nas przejmuje dreszcz tajemniczy i mimowolnie spuszczaemy oczy ku ziemi. Po komunii kapłana wszystko ustaje i obraz przedstawia się w stanie zwyczajnym. Tak się powtarzało przy wszystkich Mszach świętych, których kolejno słuchaliśmy z wielkim nabożeństwem.

Po ostatniej Mszy świętej poszliśmy do oberży na śniadanie. W nastroju poważnym przyjmowaliśmy posiłek. Ale jakież było zdziwienie nasze, kiedyśmy spostrzegli, że nasz Proboszcz, zawsze taki wesół, teraz zasępiony, smutny, w końcu nawet się rozplakał! Byliśmy pewni, że cuda, tylko co widziane, taką odmianę w nim sprawiły. Rzecz miała się jednak wręcz inaczej. Oto dowiedzieliśmy się, że on nic zgoła ani razu nie widział.

To na niego tak silnie podziałało, że skruszył się rzewnie, może z nas wszystkich najbardziej i jakże innym powrócił z nami do Rzymu!

Za powrotem opowiadaliśmy wszystkim, cośmy widzieli i co się stało z naszym wesołym humorystą. Na to rzekł O. Kajsiewicz: „Żeście to wszystko widzieli, nie dziwota: obecnie tam wciąż powtarzają się cuda, jak to i komisja kościelna sprawdziła. Tak, cud to wielki miłości Matki Najśw. w Vicovaro; ale największego z Was wszystkich doznał cudu ks. Proboszcz, który, upokorzony i skruszony, umiał z tego skorzystać. Dla was był cud zewnętrzny, poza wami; dla niego wewnętrzny, jego własny, darowany mu od Boga. To cud cudów przemienić stan duszy tak, by zostawić człowiekowi wolność, swobodę. w dobrowolnym zatwierdzeniu w sobie łaski Bożej!” W kilka lat później mieliśmy wiadomość, jak on już stale, wiernie pozostał gorliwym kapłanem i świecił wszystkim wzorowym swoim postępowaniem.

Ostatniego roku mojego pobytu w Rzymie spędzałem wakacje w górach, niedaleko Rzymu, na tzw. Mentorelli. Tam, w zaciszu, na świeżym powietrzu, przygotowywałem się do egzaminów na doktora teologii. W końcu wakacji odbyłem z jednym naszym alumnem pielgrzymkę do Genazzano, gdzie od dawna słynie cudami obraz Matki Boskiej. Po odprawieniu Mszy św. w kaplicy cudownego obrazu pozostałem tamże wraz z klerykiem na modlitwie dziękczynnej. Niezwykłego wtedy doznałem wrażenia; duszą podniesionemu w świat nadprzyrodzony, zdawało mi się, że widzę, jak Matka Najśw. ukazuje mi Swoją opiekę nade mną i w jednej chwili przedstawia cały przebieg szczęśliwej ucieczki z kraju, pomyślnie utorowanie drogi. aż do chwili bieżącej. W końcu słyszę w duszy głos: „Jakaż twoja na to odpowiedź? Co dajesz od siebie?” – „Wstąpiłem do zakonu (odrzekłem), by służyć Bogu”. I znowu w duszy głos wewnętrzny: „Czy ofiara twoja szlachetna?” Zrazu nie mogłem zrozumieć, co to znaczy. Po chwili znowu głos: „Niema tam prawdziwej ofiary, niema nawet wiary, kto w służbie Bożej stawia warunki”. Teraz zrozumiałem, o co chodzi i począłem siebie usprawiedliwiać tym, że warunek od władzy przyjęty, i ja już tym samym jestem w porządku. W końcu uczułem w sobie tak silną walkę, że już dłużej pozostać w kaplicy nie mogłem i... uciekłem.

Kleryk, który widział dobrze, że się coś niezwykłego ze mną stało, pospieszył za mną i zapytał, co mi jest. „Nic”, odpowiedziałem, „zwykłe wrażenie cudownego miejsca”. Odpowiedź, jak uważałem, nie trafiła mu do przekonania; z niedowierzaniem patrzył na mnie dalej. Po wyjściu z kaplicy poszliśmy na śniadanie do refektarza Ojców Augustianów, do których kościół ten należy. Byłem jednak bardzo niespokojny; czułem, że nie powinienem odjeżdżać w takim usposobieniu. Musiałem więc po śniadaniu znowu pójść do kaplicy. Powtarza się to samo, tylko z pewnym wyrazem upokorzenia w poczuciu brzydkiego samolubstwa. Aż wreszcie, w takim upokorzeniu, zrobiłem najzupełniej i z tego ofiarę, z postanowieniem odwołania tego warunku, skoro tylko powrócę do Rzymu. Jakże wnet inny stan duszy odczułem! Spokój, cisza zapanowały w moim sercu, a wiara taka żywa, że zdawało się, góry bym przenosił. Z rozpromienionym wyrazem twarzy wyszedłem z kaplicy. Pożegnałem Ojców Augustianów i wraz z klerykiem wracałem na Mentorellę. Aż oto, w drodze, widzimy, jak przeciw nam pędzi na osiołku jeden z naszych braciszków. Zatrzymał

się przy nas i wręczył mi pilny list od O. Semenenci. Rozpieczętuję i czytam, że mam spieszyć do niego, do Albano, w sprawie bardzo ważnej i pilnej. Zdziwieni obydwaj, nie mogliśmy się domyślić, co by to była za sprawa tak nagła! Nie długo więc po powrocie bawiłem na Mentorelli; zabrałem swoje rzeczy i na osiołku, jak zwykle w tamtejszych górach, spieszyłem do Albano. Po przywitaniu się z O. Semenenką, zapytałem, jakież to interes tak nagle powołał mnie do niego. On rozpoczął mowę swą na temat szlachetnego oddania się, wiary w Opatrzność Bożą, i coraz wyraźniej daje mi do poznania, że w Rzymie zaszło coś ważnego, tylko potrzebują decyzji mojej do zakończenia całej tej sprawy.

Wtedy już domyśliłem się, o co chodzi, i przerywając mu, rzekłem: „Wszystko tuż, drogi Ojcze, skończone! Był kto inny, co was w tern uprzedził, ja już jestem wam oddany bez żadnych zgoła zastrzeżeń”. „Ja kto?” zagadnął zdziwiony, „co to ma znaczyć?” Opowiedziałem mu wszystko szczegółowo, co zaszło w Genazzano w kaplicy cudownego obrazu. Podczas mojego opowiadania O. Semenenko tak był wzruszony, że płakał jak dziecko, z wdzięcznym wyrazem czci dla Matki Najśw. Potem opowiedział mi, co w tymże czasie zaszło. Oto przyjechał z Ameryki do Francji Biskup diecezji teksaskiej, ks. Dubuis, i prosił bardzo O. Generała Kajsiewicza za pośrednictwem O. Jełowickiego, by mu dał księży z naszego Zgromadzenia dla duchownej obsługi polskich rodzin, osiadłych w Teksas. Tak nalegał, chwalił tamtejszą miejscowość, klimat, pobożność ludu, że w końcu O. Kajsiewicz zdecydował się przyjąć tę misję, jeżeli znajdzie odpowiednich do niej księży. W tym właśnie była trudność niemała: Zgromadzenie, niedawno założone, było jeszcze nieliczne. Pomimo najlepszych chęci uczynienia zadość prośbom świątobliwego Biskupa, wybór był bardzo trudny. Byli już przeznaczeni do tej misji O. Wincenty Barzyński i O. Feliks Zwiardowski, podówczas jeszcze alumn bez święceń; potrzeba było jeszcze, co najmniej, trzeciego, a tego nie było. Myślano o mnie, ale wskutek umowy, zawartej przy wstąpieniu do Zgromadzenia, że mnie do Ameryki nie wyślą, O. Kajsiewicz nie chciał sam od siebie o tern postanawiać i polecił rozmówienie się ze mną Ojcu Semenence. Ks. Biskup tymczasem, za pośrednictwem O. Jełowickiego, wciąż naglił o załatwienie swej prośby.

Zaraz na drugi dzień odjechaliśmy z O. Semenenką z Albano do Rzymu. To cudowne zdarzenie w Genazzano zdecydowało ostatecznie O. Kajsiewicza do wysłania nas trzech na misję w Teksas.

III

Wyjazd z Rzymu i podróż na morzu.

Wspomniałem wyżej, że przygotowywałem się do egzaminu na doktora teologii. Kiedym zapytał O. Kajsiewicza, jakże teraz będzie z moim doktoratem, taką otrzymałem odpowiedź: „Czy ty chcesz być doktorem teologii wobec Boga czy wobec ludzi?” „Wobec Boga”, - odpowiedziałem. „To jesteś nim”, odrzekł, „i jedź do Ameryki”. Tak więc trzeba było wszystko poświęcić i, z zaparciem się siebie, spieszyć do Ameryki.

Było to roku 1866 w miesiącu wrześniu, kiedy szczupły nas zastęp, bo tylko we trzech, wyjechaliśmy z Rzymu na misję do Ameryki. Pojechaliśmy wprost do Lyonu, gdzie nas oczekiwał ks. Biskup. W Lyonie zabrał on z sobą 30 misjonarzy Francuzów i 26 zakonnic, i wszyscy razem pojechaliśmy do Paryża.

Tu przyłączyli się do nas ks. Józef Bitkowski, ks. Klemens Kucharczyk i ks. Feliks Orzechowski, emigranci z Królestwa. O. Wincenty Barzyński zabrał z Monachium ojca swojego, który, po długich debatach oparłi, dał się w końcu namówić i pojechał z nami. Wszyscy jechaliśmy kosztem Biskupa. Po kilkodniowym wypoczynku w Paryżu pojechaliśmy do Havre'u, gdzie dowiózł nas pociąg do samego portu tak, że z wagonu wprost

poszliśmy na okręt.

Po długiej podróży ujrzałem się na krańcu Europy, skąd mieliśmy odpłynąć do Ameryki.

Havre jest to miasto portowe, wznoszące się przy ujściu Sekwany, wpadającej do zatoki, zaokrąglonej w kształcie amfiteatru. Długa, kamienna grobla, opatrzona wielką latarnią na wzniosłej kolumnie, śmiało wkraczała w morze, podobna do olbrzymiego języka, liżącego słoną wodę Atlantyku. Jest to ulubione, jak uważałem, miejsce, gdzie mieszkańcy używają zwykłych przechadzek.

Na oznaczoną godzinę przybyliśmy do wybrzeża; gdzie nasz okręt stał spokojnie w szeregu swoich towarzyszy, na których powiewały różne flagi rozmaitych narodów. Wstępujemy wreszcie na pokład. Powoli zaczynają się schodzić rozmaite osoby w towarzystwie krewnych, przyjaciół, mężczyzn, kobiet i dzieci. Niebawem taka staje się ciżba na statku, że tłoczą się ludzie, jak śledzie w beczce. Nie można było jeszcze wiedzieć, którzy są podróżni, a którzy odprowadzający. Wyrazy rozmaitych języków krzyżują się jak w Babelu. Stuk kufrów, pudełek, płacz, narzekania kobiet, pisk dzieci - wszystko to razem się miesza i drażni niesłychanie nerwy. Kobiety płaczą, mężczyźni powstrzymują się od łez z obawy, by ichnie posądzono o brak męstwa.

Kapitan z pomocnikiem przechadzają się na podwyższonym pomoście i wydają służbie rozkazy. Majtkowie ciągną liny z kuframi, i ze smętnym, miarowym śpiewem spuszcza je do głębi otworu w pokładzie. Śpiew ich smętny, przeciągły, przy równym pociągu lin, przykre w duszy obudza tęsknoty. Salwa działowa rozlega się w przestrzeni, i nasz okręt zaczyna powoli się ruszać. Goście już rozeszli się, a pasażerowie wylegają na pomost. Teraz następują mowa i pożegnanie mimiczne, tkliwe, rzewne, pełne wyrazu żalu, bólu, między oddalającymi się a pozostałymi na lądzie. Setki chustek powiewają nad głowami wędrowców, a jeszcze więcej z brzegu im odpowiadających. To ostatnie pożegnanie żyjących, z których niejeden żegna się już na zawsze.

Ziemia za nami jeszcze widzialna, wszyscy ku niej zwróceni, jak ku najlepszej matce, która wyprawia swe dzieci gdzieś, jakoby w zaczarowane światy. Aż w końcu te ręczne telegrafy nikną, ludzie i miasto zamieniają się w jakąś niewyraźną szarą plamkę, i giną zupełnie. Łzy zamąciły oczy, bolesny smutek ścisnął serce na widok tak nagłej zmiany. Bywaj mi zdrowa, kochana Ojczyzno, kolebko życia mojego, nadziejo pięknych marzeń! Czyż ciebie kiedy jeszcze zobaczę? Zmieniło się wszystko, i w tak krótkim czasie! Jakże już inaczej, niż było jeszcze przed tygodniem! Bądź Wola Twoja! Wierzymy i ufamy, że w całym tym zajściu, w tej smutnej dla nas podróży, jak i w przyszłej pracy naszej jest Opatrzność Twoja! Tam, Boże, chciałeś, i oto jedziemy! Bądź Wola Twoja!

Stąpając po raz pierwszy po pokładzie chwiejącego się statku zdaje się, że niby coś podrywa, podnosi; stąd nieprzyjemny zawrót głowy, opanowuje posępność, omdlenie.

Bezbieżny Ocean roztacza swe dziwy przed naszymi oczami, z szumem fal przynosi jakieś mitologiczne sceny, zwłaszcza piętzące się przy świetle księżyca fale, jakby Nimfy w stalowych pancerzach, przypominają smutne przygody Odyseja. Obyśmy szczęśliwie dopłynęli do naszego portu!

Ks. Biskup zajął się sam rozlokowaniem nas do przeznaczonych kajut. Wszystkich misjonarzy umieścił w drugiej klasie, a zakonnice w pierwszej, gdzie także, nie wiem już, dla jakich względów, ulokował i mnie z udzieleniem prawa słuchania spowiedzi zakonnic, zwłaszcza w czasie niebezpiecznej burzy. Miałem więc gabinet bardzo wygodny z odpowiednimi meblami. Podróż była wielce urozmaicona; morze prawie ciągle wzburzone; nie było ani jednego dnia spokojnego. Raz przejeżdżaliśmy pomiędzy dwiema trąbami morskimi, których widok przedstawiał się nam wspaniale a groźnie: dwie niebotyczne kolumny wody - gdzieś bez końca pograżone w horyzoncie niebios. Innym razem przepłynął koło nas wieloryb, wyrzucając z siebie wspaniałą fontannę. Kapitan, widząc to, zapowiedział burzę. Wszyscy też, z bardzo małym wyjątkiem, chorowali, zwłaszcza kobiety. Ja sam zaś nie

chorowałem ani razu. Silna wiara w Opatrzność Bożą nad nami, iż Bóg miłosierny w naszej przyszłej pracy ma jakiś cel, dodawała mi otuchy, utrzymywała zawsze w dobrym usposobieniu, i, mimo wszelkich burz, miałem to poczucie, że zdążymy do przeznaczonego nam miejsca.

Jednej nocy szalała nad nami niezwykła burza. Okręt, miotany na wsze strony, przerzucał mnie na łóżku z jednego boku na drugi, ale mimo to wciąż twardo spałem. Słyszałem jednak, jakoby we śnie, stuk przybocznych kufrów, rozmaitych sprzętów, krzyk i nawoływanie zakonnic, ale się zupełnie nie obudziłem. Wreszcie okręt tak silnie się przewrócił, że wypadłem z łóżka na przeciwległą kanapę, a potem z kanapy pod łóżko. Wtedy dopiero, nieco potłuczony, obudziłem się na dobre. Przerażony tym zdarzeniem, zrazu nie mogłem się zorientować, co się z nami dzieje. Maszyna nie działa, okręt gwałtownie przechyla się na jedną to na drugą stronę. Łomot, trzask, krzyk zgrozę jeszcze bardziej powiększa. W takie nieszczęście, iż byśmy już tonęli, nie wierzyłem. Chciałem przeto koniecznie z tego zamieszania wydostać się na górę, do sali jadalnej, i tam się dowiedzieć, co się z nami dzieje.

Po ciemku, wśród huśtania się okrętu, trudnością było niemało dostać się na pokład. Zrzuciłem burnus na siebie, i po schodach żelaznych, trzymając się oburącz poręczy, z wielkim mozolem wydostałem się do sali. Światła wszystkie pogasły, tylko w kącie sali świeci się mała lampka, a przy niej czuwa dwóch służących.

„Co słyhać z nami?” zapytałem. „Nie wiemy”, odrzekli, „jesteśmy wszyscy szczelnie zamknięci”. Stuk, łomotanie przedmiotów wraz z jękami podróżnych nie ustają. Teraz już nie wiedziałem, co z sobą mam zrobić... Wracać do kajuty, skąd się ledwo wydostałem, nie miałem ochoty, udzielać zaś pomocy po ciemku, zdawało mi się niemożliwym. Postanowiłem więc już tu pozostać i czuwać do rana razem ze służbą. Sen jednak i tu mnie zmorzył.

W sali, naokoło przy ścianie, były wygodne kanapy, pokryte amarantowym pluszem. Na jednej z nich odsunąłem materac od ściany, i w tym zagłębieniu, zabezpieczając siebie od wyrzucenia przez burzę, wybornie znowu zasnąłem. Obudziłem się dopiero o godz. 8. z rana, kiedy służba przygotowywała śniadanie.

„Co słyhać z nami?”, zapytałem, „wszak płyniemy?” „Tak!” odrzekli, „płyniemy; groziło nam wielkie niebezpieczeństwo, gdyż o mały kocioł nie był rozerwany. Staliśmy na miejscu sześć godzin, i katastrofie zapobiegli”. W tej chwili głucha cisza wśród pasażerów, śpią wszyscy, niema nikogo na śniadaniu. Wypiłem kawę sam, i również jak inni, poszedłem dalej spać do swojej kajuty.

Nieprzyjemna była sprawa, kiedy przy drugim śniadaniu spotkałem się z zakonnicami. Już od samego początku niezadowolone one były z mojej opieki. Jako Francuzki pragnęły mieć kapłana Francuza. Teraz miały dobrą sposobność pozbycia się mnie i w tym celu zaniósły skargę do ks. Biskupa. Tłumaczyłem się przed nim w całej prostocie, jak było, że przyszedłem na górę do sali, by się dowiedzieć, co się z nami dzieje, i tam mnie sen zmorzył taki, że nie mogłem mu się oprzeć.

„Rozmaite są usposobienia ludzkie”, odezwał się Biskup do zakonnic, „jedni w niebezpieczeństwie krzyczą ze strachu, drudzy, snem obaleni, kładą się spać. Cóż robić? Trzeba się przygotować do śmierci zawczasu!”

Niepomyślna była dla nich taka odpowiedź; ale zostałem nadal w tej samej kajucie.

Dnia 12-go naszej żeglugi zobaczyliśmy zabłąkane ptaszki, które, świergocąc, czepiały się masztów. Były one posłankami pokoju dla wszystkich, zwiastując nam, że ziemia już niedaleko. Choć jej nie widać jeszcze; czujemy już jej zbawienne sąsiedztwo. Widok coraz bardziej się ożywia; mnóstwo różnorodnych statków krąży tam i ówdzie; łoskot maszyn a zgiewki ludzi zalatuje chwilowo z wielkiego miasta. Setki bark rybackich o trójkątnych żaglach przesuwają się majestatycznie. Jedne dążą w przeciwną nam stronę, drugie koło nas,

my wszystkie mijamy. Okręt nasz lekko, powoli dobiega brzegów Nowego Świata. Pod pokładem panuje rajwach nie do określenia. Ten sobie gada, a ów coś wesoło rozprawia; pełno rad, zwierzań się, uciechy i krzyku. W końcu całe prześwietne nasze towarzystwo, z parasolami, laskami, tobołkami, torebkami występuje w świątecznych strojach na pokład okrętu, i przypatruje się w uroczystym nastroju ziemi Nowego Świata.

W oddaleniu wznosi się poważnie, otoczony lasem masztów, Nowy Jork, owa wielka strażnica Ameryki, rozpościerająca swe ramiona z południowego rogu trójkątnej wyspy, oddzielonej od stałego lądu rzeką Hudson. Ze składów nadbrzeżnych idą koleje żelazne do morza dla ułatwienia ładowania okrętów. Przed każdym składem sterczą olbrzymie windy o zębatych kołach. Otóż wreszcie stajemy u brzegu! Amerykanie, nim nas wpuścili do swojej ziemi, zapisują każdego po szczególe do wykazów statystycznych, przerzucają i otwierają wszystkie kufry; zresztą bez żadnych papierów paszportowych wypuszczają każdego wolno. Kiedyśmy byli jeszcze w porcie, przestrzegł nas Biskup, abyśmy uważali i trzymali się razem, gdyż w tak wielkim, hałaśliwym mieście łatwo mógłby który z nas się zagubić.

Wnet po przybyciu do hotelu siedliśmy do stołu dla spożycia obiadu. Rozglądamy się wzajemnie, czy wszyscy jesteśmy, gdy oto spostrzegamy, że dwóch z nas braknie: jednego Francuza a drugiego Polaka, O. Wincenty Barzyńskiego. Byliśmy zakłopotani, co się z nimi stało, - jak sobie dadzą radę bez znajomości języka, ani hotelu, do któregośmy zajechali. Aż oto w pół godziny zjawiają się wraz z jednym O. Jezuitą. W zamieszaniu ulicznym stracili nas z oczu, w końcu wzięli fiakra, ale rozmówić się z nim nie mogli. Ten zaś widząc, że to są księża, zawiózł ich do najbliższego kościoła, gdzie są OO. Jezuici. Dzienniki nowojorskie już były ogłosiły, że w dniu dzisiejszym przybędzie okręt z Europy, że przywiezie misjonarzy wraz z ich Biskupem, i że staną w tym hotelu. To ich ochroniło od niepomyślnych kłopotów, jakie by ich mogły spotkać w podobnym zdarzeniu. Po dwudniowym wypoczynku Biskup nasz odjechał koleją żelazną do Baltimore na Synod prowincjonalny, a my wszyscy znowu okrętem do Teksas. I znowu ujrzelśmy się na morzu, na parowcu amerykańskim, nieco odmiennym od europejskiego. Na wierzchu pokładu stoi piękny, elegancki dom, ciągnący się środkiem, wzdłuż całego okrętu. Wyrazy angielskie, z jakimś dziwnym akcentem gardlanym, a dla nas jeszcze obce, obijają się o uszy. Drugie 12 dni, mniej więcej spokojnych, spędzamy znowu w podróży na morzu. Dwunastego dnia pod wieczór zbliżamy się do Galvestonu. Już jesteśmy w Teksas, u celu naszej podróży.

Zachodzące słońce rozpościera płomieniste tło na wodzie, a błedniejąc stopniowo, roztopia się w lazurze. Żaden powiew wiatru nie ochładza gorącego wieczoru. Niebo przeźrocyste; morze zdaje się być emaliowane białymi żaglami drobnych statków, które, jak ptaki morskie, krążą pomiędzy wielkimi okrętami. Nareszcie gwiazdy poczynają przeglądać się drżąc w stalowym zwierciadle morza, statek nasz posuwa się lekko wśród tajemnicy nocy... i zatrzymuje się. Kapitan oznajmia, iż z-przyczyny spadu wody nie możemy już dalej jechać, musimy tu stać i czekać jutra rana, aż się wody podniosą. Nazajutrz o godzinie 10-tej z rana byliśmy już w mieszkaniu naszego Biskupa, w portowym mieście Galveston. Jest to miasto na przeciągłej małej wyspie tegoż imienia, niewielkie, około 30 tysięcy ludności liczące. Panuje tu wyłącznie język angielski. Klimat nieszczęśliwy, osobliwie letnią porą; z powodu upałów, trwających przez sześć miesięcy, tudzież zaraźliwych wyziewów z bagien, wywiązuje się śmiertelna zaraza, żółta febra zwana. Zresztą miasto samo nie przedstawia nic godnego uwagi.

Na trzeci dzień naszego pobytu w Galvestonie przyjechał ks. Biskup i porozsyłał nas wszystkich do miejsc nam przeznaczonych. Mieli się udać: O. Wincenty Barzyński i z nim ks. Feliks Orzechowski do San Antonio; także i ojciec ks. Barzyńskiego. Ks. Józef Bitkowski do Malbery. Ks. Klemens Kucharczyk do Bandery. Ja zaś z Ojcem Feliksem Zwiardowskim, natenczas jeszcze klerykiem, do „Panny Maryi”.

I oto rozpoczynamy nasze misje 1. listopada 1866. roku.

Było to wkrótce po wojnie konfederackiej, przegranej dla południowców. Nie zastaliśmy tu jeszcze rządu uregulowanego; przeciwnie, swawola teksaskich Amerykanów, jeszcze bardziej rozjątrzona, nie miała granic w objawach życia wolnego, równego dzikim zwierzętom tej krainy.

Musielśmy więc wiele przecierpieć, zanim północne Stany siłą zbrojną zaprowadziły u nas porządek. Amerykanie teksascy to, z małym wyjątkiem, istny dziki naród, wzrosły w tamtejszych stepach, bez żadnego wychowania ani nauki, tylko od dzieciństwa ćwiczonej konną jazdą, uganianiem po polach za dzikiem bydłem, którym stale prowadzą swój handel. Klasa wyższa, nawykła do posługiwania się murzynami, z którymi postępowała po barbarzyńsku, nagle, po przegranej wojnie, popadła w wielką nędzę. Niższa zaś, rozzuchwalona źle zrozumianą wolnością, ciemna, bez obyczajów, mordowała się nawzajem za lada najmniejszą obrazę. Słowem, na złe trafiliśmy czasy. Na razie było nam smutno, ale pokrzepialiśmy się nadzieją, że przecież kiedyś będzie lepiej, a tymczasem Opatrzność Boża zachowa nas od niespodziewanej śmierci.

IV Teksas.

Teksas, najrozleglejsza prowincja Stanów Zjednoczonych, ma 237.000 kwadratowych ang. mil obszaru. Na wschód graniczy rzeka Sabina, na południowy zachód rzeka Rio-grande, na południe zatoka meksykańska, na północ terytorium Indian. Cały ten kawał ziemi teksaskiej jest poprzerynany licznymi rzekami, wpadającymi do zatoki meksykańskiej, a żadna nie jest spławną. Teksas bardzo mało uprawny; rolnictwo prawie żadne, chociaż ziemia żyzna i klimat umiarkowany. Najzdrowszą stroną północną; tam pną się w obłoki malownicze góry, niezawadzające wcale rolnikowi w jego pracy. Pola i łąki poprzerynane przez czyste strumyki, zdobne pięknymi lasami, aromatycznym powietrzem. Z przyczyny jednak częstych napadów Indian, tam się kryjących, strona ta najmniej zaludniona.

W południowej części, chociaż brak wody i często grasuje żółta febra, więcej jednak ludności, jako w pobliżu portowych miast, ułatwiających handel. Kraj ten byłby najpożądany, gdyby regularne spadały deszcze; ten niedostatek niekiedy wielkie tam klęski sprowadza. Letnią porą, chociaż upały wielkie, wieją jednak prawie bez przestanku chłodne wiatry, przyjemnie orzeźwiając powietrze. Zimową porą śnieg spadnie rzadko kiedy, i trwa czas krótki, jednak powietrze zawsze mroźne, a wiatry północne niekiedy tak ostro wieją, że wody pokrywają się cienkim lodem. Przez kilka miesięcy trzeba w piecach palić. Ludność, blisko miliona, rozmaitej narodowości, Meksykanie, Francuzi, Amerykanie z zachodnich Zjednoczonych Stanów, Niemcy i Polacy.

Teksas należał dawniej do Meksyku; a po rewolucji 1835 r. uformował sobie własny rząd republikański. Z powodu wojen domowych rząd Stanów Zjednoczonych r. 1845 wziął go pod panowanie swoje. Główne miasto Austin nad rzeką Colorado, rezydencja gubernatora. Kraj ten podówczas był jeszcze bardzo mało zaludniony, prawie że dziki, bez żadnej kultury. Klimat chociaż gorący, ale zdrowy, zwłaszcza dla suchotników. Wegetacja bujna, roślinność bogata, tylko częste, gwałtowne burze, cyklony, powodzie, w jednej chwili cały zasiew niszczy. Rolnicy, a ci po większej części Polacy, trudnią się uprawą bawełny, zasiewem kukurydzy, trzciny cukrowej, co im przynosi dobre zyski. Teksas szczególnie odznacza się chowem bydła; miliony pasą się same na przestronnych, żyznych polach. Bydło to jest własnością ludzi prywatnych; woły, krowy, konie poznaczane wypalonymi znakami swych właścicieli. Dozorowane są przez umyślnie na to wynajętych konnych pachołków. Kara wielka spotkałaby tego, kto by się odważył złować na arkan cudzą własność.

V „Panna Maria”.

„Panna Maria” jest to osiadłość, złożona z samych Polaków, składających się z blisko 200 rodzin, a przybyłych z Górnego Śląska. Przed kilku laty sprowadził ich tu ksiądz Leopold Moczygęba, franciszkanin, również, jak i oni, rodem z Górnego Śląska. Nie wiem, dla jakich powodów opuścił ich wkrótce i odjechał w strony północne na misje wśród Niemców.

Rząd tamtejszy powymierzał im grunta, po cenach przystępnych, bo po 7 dolarów za akr (miara amerykańska, nieco mniejsza od morgi), w ratach płatnych w przeciągu lat dwunastu. Grunt zaś na kościół, plebanię i szkołę ofiarował za darmo, a było go 29 akrów.

Kiedyśmy objęli misję w Teksas, prócz jednego kościoła w „Pannie Maryi”, a w nim prócz czterech nagich ścian, nic więcej nie było. Domu mieszkalnego dla nas nie było żadnego; musieliśmy mieszkać wraz z ks. Zwiardowskim w małym pokoiku nad zakrystią, pod samym dachem, gdzie jeden z nas zwykle sypiał na ziemi, gdyż nie było drugiego łóżka, ani nawet miejsca na jego umieszczenie. Upały teksaskie dokuczały nam tym bardziej, żeśmy nie mieli żadnego sklepienia oprócz dachu, a ten tylko o jedną stopę nad naszymi głowami.

Wśród samych rodzin polskich znalazł się też i pewien Niemiec ze swoją rodziną. Był on tam wszystkim: kupcem, sędzią, doradcą; słowem, rządził całą osiadłością, bo nawet i kościół miał pod swoim zarządem, a w niedzielę przewodniczył na nabożeństwach. Z polecenia Biskupa oddał mi klucze od kościoła, mapy jednak gruntów, należących do kościoła, nie oddał, tłumacząc się tym, że znajdzie ją potem w swoich papierach. To mi od razu wydało się podejrzanym.

Z początku stołowaliśmy się u niego, gdyż trudno było na razie inaczej sobie poradzić; on bowiem najbliżej kościoła mieszkał, sam też domagał się tego, ofiarując nam wikt za darmo. Aczkolwiek niechętnie przystaliśmy na to, li tylko z konieczności, bo zauważyliśmy od razu, jak zgubne wpływy wywierał on na naszych pocziwych Polaków. Po miesiącu opuściliśmy go, i urządziliśmy się z wiktem inaczej.

W czasie zimy przeniosłem się do maleńkiego domku niedaleko kościoła; ale jakież on był! Oto o kilkadziesiąt kroków od kościoła był spichlerz, przeznaczony na zbiór kukurydzy dla konia ks. proboszcza. Bez okien, z rozwalonymi drzwiami, z poszarpanym dachem, istna siedziba wężów. Kazałem wymurować tam komin, do okna nieoszlonego dorobić okiennicę, a nad łóżkiem zawiesiłem baldachim z płótna, i miałem już swój pałac gotowy. Tam mieszkałem przez dwa lata, zanim moi parafianie pobudowali nam plebanię. O. Zwiardowski mieszkał nad zakrystią. Jedzenie gotowano nam w domu polskiej rodziny, niedaleko nas zamieszkałej, i przynoszono do mnie. Pocziwe parafianki przynosiły mi kury, ofiarowały kilka krów, i miałem już swoje własne gospodarstwo. Domeczek bardzo mały, i biednie wyglądał zewsząd, ale się czułem w nim szczęśliwy i zadowolony. Nie pragnąłem nic więcej. Miałem świat swój własny w duszy, i tam szukałem światła i piękna. Niekiedy wiatr w mojej chatce gospodarzył, jak w polu, przez rozmaite szczeliny, szpary, świstał dzikim tonem rozstrojonych, stepowych akordów, i jakieś smutne, żalosne wydawał pieśni, jakoby lament dusz zatraconych. Stos drzewek, złożony obok łóżka, dostarczał mi ciepła, o czym trzeba było pamiętać zarówno w nocy jak i w ciągu dnia. Wkrótce też przyjechał z San Antonio do mnie, na mieszkanie, stary p. Barzyński, ojciec naszego ks. Wincentego, trzeba więc było pomyśleć i o jego ulokowaniu. Zabraliśmy się tedy razem do tej roboty. Budowaliśmy tuż obok mojego domku, by tym sposobem zyskać choć jedną ścianę. Wbijaliśmy słupy, do nich przybijaliśmy różnorodne deski, a dach układaliśmy z odłamków porozbijanych beczek. Szpary pozatykaliśmy rozmaitymi płachtami, i pokoiem, a raczej cygański szałas, gotowy. Wiatr jeszcze bujniej, niż u mnie, świstał szczelinami. A jednak było nam dobrze; ja w swojej celi

pisalem wiersze, a on w sąsiedztwie mozolil się nad „perpetuum mobile”. Zimową porą mróz dokuczal mu bardziej jeszcze, niz u mnie, gdyż pieca nie miał wcale, przychodzil więc często do mnie na rozmowę, a bardziej jeszcze dla ogrzania się.

„Dzień dobry księdzu!”

„A, jak się pan ma. Cóż tam, zimno?”

„O , zimno! Proszę sobie wyobrazić, wiatr tej nocy dął tak silnie, że powypychał mi ze szpar wszystkie gałgany, a tak podświstywał, jakby dmuchał tymi rurkami, którymi lutuję kółeczka przy ogniu. O, jakże to przenika, aż kości bolą!”

„Więc teraz wiatr polutował panu stare kości!”

„To prawda, choć mrozem, ale piekło ognisćie”.

„Ha! cóż robić!”

„Niech to P. Bóg policzy za czyścić”.

„A jakże się ma pańskie perpetuum mobile?”

„Ot, wyznaję, że nadziei jeszcze nie tracę; już wynalazłem zwrotną siłę, a nad tą właśnie od początku pracuję; teraz dalej pójdzie mi łatwiej”.

„Wątpię, panie, to nie podobna, lepiej temu dać pokój, a wziąć się do pracy jakiejś innej, odpowiedniejszej siłom ludzkim”.

Potem przekonał się sam, iż to niemożliwe, i zabrał się do robienia maszyny do rznięcia kamieni.

Pocziwi moi parafianie odwiedzali mnie często, i jak mogli, pocieszali nadzieją prędkiego zbudowania nowego domu.

„Jakże się mają, księżę Fararzu?” odezwał się przy drzwiach jeden z moich parafian, „czy jeszcze nie zamarli? O mój Boże, jakże Oni muszą tu u nas biedować! Ale to P. Bóg wynagrodzi, na wiosnę zaczniemy budować piękny dom dla Nich”.

„Dziękuję wam, kochany Wawrzyńcze, mam się dobrze, trochę zimno i biedno, ale cóż robić, początki muszą być zawsze ciężkie”.

„Oj, to prawda! Co my tu wycierpieli w naszych początkach! Myśmy nie mieli żadnych chatek, tylko pola, krzaki i drzewa za ochronę. Przyjechało nas tu razem około stu rodzin. Było to w Toku 1854. Stanęliśmy obozem na tem miejscu, gdzie dziś „Panna Maria”, lecz ani kościoła zapowiedzianego nam w Europie, ani żadnej chatki, ani nawet nikogo nie było z ludzi. Niekiedy ktoś z Amerykanów się pokazał; nie mogliśmy się z nim rozmówić, podziwiał, naśmiał się i ... odjechał. Trawa wszędzie tak była wielka, że ledwo o kilka kroków mógł dojrzeć jeden drugiego. Wężów grzechotników co krok, to kilka można było spotkać. Oj, doznaliśmy wtedy ciężkiej biedy!

Ludzie niemal że z głodu nie marli; wprawdzie pieniędzy żeśmy mieli, ale nie było nic do kupienia; zaledwo kto z nas wyszedł z miejsca, już z biedą mógł trafić na powrót. Kilku też od ukąszenia wężów poumieralo. Płacz, narzekanie naszych kobiet i dzieci jeszcze bardziej nieszczęście pomnażało. Wszyscy bez wyjątku musieliśmy chodzić z kijami, motykami, widłami dla obrony od wężów. Mieszkaliśmy w jamach, pokrytych chrustem i badyłami. Kiedy już bieda gwałtowna poczęła dociskać, musieliśmy się rozejść w różne strony na służbę do Amerykanów; ale, mój Boże, po kilkomiesięcznej pracy, zamiast zapłaty, grozili nam rewolwerem, i myśmy z niczym wracali do swoich zagród; a tu głód, nędza; dzieci płaczą i o chleb wołają. Oj, było to, było ciężko; na samo wspomnienie lzy oczy mącą. Zaczęliśmy potem budować oto ten kościół, postawiliśmy domek dla księdza Moczygęby; widzą ksiądz Fararz oto tę starą wozownię, to była fara. O, jakże kontenci byliśmy, żeśmy dostali księdza! On nas pocieszał, nam pomagał!

„Pewnego razu ks. Moczygęba zaprosił do siebie nowoprzybyłych Polaków na obiad. Ci

przed nim boleją, żalą się, narzekając, po co tu przyjechali na taką nędzę. Ksiądz ich pociesza, uspokaja, że już najgorszy czas minął, że teraz będzie coraz to lepiej, aż wtem, gdy zabierają się do spożycia gorącej zupy, kap z dachu na środek stołu, - co? Grzechotnik. - O, mój Boże, co było strachu, krzyku, aż z izby puciekali!

„O, jakież złoty wydało się nam wtedy nasz Śląsk! No! Ale już przeszło, i dziś, Bogu dzięki, mamy się nieźle, i nasz ksiądz Fararz niezadługo przyjdzie do lepszej wygody”

Początki kolonizacji polskiej w Teksas były, jak widzimy, istotnie oplakania godne. Głównym powodem, że opuścili kraj i wyemigrowali do Ameryki, był, jak mi mówiono, Franciszkanin ks. Leopold Moczygęba. Wysłała go jego władza klasztorna na misję niemiecką do Teksas, i tam on powziął myśl o kolonizacji tej dzikiej krainy przez Polaków. I oto 200 rodzin polskich z Górnego Śląska opuściło na jego wezwanie swoje rodzinne zagrody, i pospieszyło za Atlantyk do ziemi, jak ich zapewniono, mlekiem i miodem płynącej. Takież było ich rozczarowanie, gdy na miejscu, po ciężkiej i niebezpiecznej podróży, przekonali się, że ich zawiedziono. Wracać już było niemożliwym, nikt ani funduszków, ani też nie miał odwagi puszczać się znowu na łaskę morskich bałwanów. Musieli pozostać na miejscu i poddać się wszelkiej, nacierającej na nich biedzie. Osiedleni bez domów, pod dębami, lub w jamach pod badyłami, w towarzystwie rozmaitych jadowitych płazów, wystawieni na pastwę burz teksaskich, bez znajomości języka, musieli wiele i długo przecierpieć, zanim zdobyli sobie jakąś znośną egzystencję. Ale obok tych stron ujemnych były też pewne i dodatnie strony moralne. Owa bowiem nieznanostwo krajowego języka, dzikie strony i barbarzyńskie obyczaje południowych Amerykanów posłużyły im do zgodnego pożycia między sobą, do solidarności w duchu chrześcijańskim, co nam potem wielce ułatwiło wzorową organizację całej parafii. Ta nędza, bieda, prześladowanie ze strony Amerykanów były dla nich także skutecznym bodźcem do utrzymania swoich polskich zwyczajów i obyczajów, a szczególnie wiary i religii, którą w swych sercach przywieźli z sobą do tego kraju. Skupieni razem w jedno miejsce, wzajemnie sobie pomagali, bo, prócz koniecznych potrzeb do życia, w niczym zresztą z Amerykanami się nie znosili. Kiedy ci w końcu przekonali się, że Polacy bez ich pomocy jakoś sobie radzą i poczynają się we wszystkim rozwijać na równi z nimi, chcieli ich wygnać z tej ziemi, i poczęli na nich zbrojnie napadać. Północ wywalczyła swobodę murzynów, separatysty czynnego oporu z bronią w rękę stawić już nie mogli, lecz stawili opór bierny, i mścili się na jednostkach. Gdy widzieli Polaka bez znajomości miejscowego języka, chłopca bez wykształcenia, zdało się im, że musi on podlegać temu samemu bezprawiu, co murzyn.

Urzednicy niesumienni, sprzedajni, za okupem wypuszczali z więzienia największego zbrodniarza, podczas gdy uczciwego Polaka prześladowali i obdzierali bez końca. Nic więc dziwnego, że istniały tam różnorodne zbrojne napady.

W ciągu tych kilku nieszczęśliwych lat nie mieli też żadnej stałej pomocy kapłańskiej; ledwo raz do roku zjawił się jakiś kapłan katolicki, ale i ten jako cudzoziemiec nie mógł się z nimi rozmówić.

W „Pannie Maryi” mieli swój własny kościół, ale w nim sami, bez kapłana, odprawiali swoje nabożeństwa. Śpiewali godzinki, różaniec, i tak kończyli ogólnym płaczem, rozchodząc się do domów. Aż wreszcie, za naszym przybyciem do nich, skończyło się ich sieroctwo.

Polacy osiedleni w „Pannie Maryi” przeważnie zajmują się rolą. Uprawiają bawełnę, kukurydzę i trzcinę cukrową. Żyto, owies, a tem mniej pszenica nie udają się. Mają też i kartofle, ale innego gatunku niż na północy; są one podłużne, jak nasze ogórki, a nazywają się „słodkie kartofle” z przyczyny słodkawego smaku. Znakomite są orzechy, podobne do

włoskich, tylko cięższe i dłuższe. Drzewa ich wysoko rozłożyste rosną nad brzegami rzek. Gdy urodzą obficie, przynoszą dobre zyski właścicielom. Wspaniałe też są dzikie winogrona, ale tak kwaśne, że nie podobna ich zużytkować. Może kiedyś je uszlachetnią. Kawony, melony takie wielkie, jakich niema w Europie, a są doskonałe.

Każdy Polak-gospodarz posiadał oprócz roli jeszcze pewną ilość bydła; zwykle w czasie zimy część jego sprzedawał umówionym już kupcom, a ci pędzili je do portu na okręty, odpływające do północnych Stanów.

„Panna Marya”, osiadłość złożona z samych Polaków, jest otoczona z jednej strony rzeką „San Antonio” (źródła jej niedaleko tego miasta), z drugiej, nieco mniejszą, którą nazwaliśmy, nie wiem, dlaczego „Cebulą”. Jedna i druga górską; w czasie deszczów obie wylewają, zwłaszcza San Antonio. Grunta kościelne, leżące wzdłuż rzeki San Antonio, zwykle wydzierzawiałem moim parafianom.

Wkrótce po naszym przybyciu zabraliśmy się do urządzenia i zorganizowania parafii. Zwołałem wszystkich gospodarzy na wiec, na którym ułożyliśmy taksę naszego utrzymania, cenę za śluby, pogrzeby itp. i zarazem umówiliśmy oporządzenie kościoła, jako też pobudowanie plebanii i szkoły. Wszystko uchwalono zgodnie, i zaraz zabrano się do roboty. Lud posłuszny, pobożny, kochał nas tak, że bez mojego pozwolenia nikt n. p. żadnych zabaw u siebie nie urządzał. Każdą zabawę z muzyką musiało poprzedzić moje pozwolenie z określeniem czasu, zwykle do północy, - czego też sumiennie przestrzegano.

Po upływie trzech lat naszego tam pobytu zbudowali nam Polacy piękny piętrowy dom, przeznaczony na szkołę. i na nasze mieszkanie. Odtąd już mieliśmy lepszą sposobność do prowadzenia życia według reguły i przepisów naszego Zgromadzenia.

Dom ten był zbudowany obok kościoła na wzniosłym pagórku, stąd piękny z niego wokoło przedstawiał się widok. Z jednej strony domki naszej wioski, za nimi las; z drugiej, pola i łąki widać było w przestrzeni na kilka kilometrów. Naprzód ścielą się przed okiem bujne ogrody, zasiane bawełną i kukurydzą. Dalej w dolinie płynie rzeka San Antonio, a nad jej brzegami wspaniałe orzechowe drzewa i wybujałe krzewy, pnące się w górę wysoko, ocieniające dziki wąwóz brzegów rzeki, z jakie 40 stóp głęboki. W dolinie tej kwicistej... cicho, jakby w lesie; szumi tylko rzeka; miejscami zaś tak ciemno, iż ledwo przejrzeć można. Tu zwykle się kryją zające, sarny, dzikie koty, a nawet i pantery. Zlatują czaple, a j całe stada dzikich indyków orzeźwiają się tu przy wodzie. Nieraz tam też można widzieć krokodyle, aligatorami zwane, nie wspominając już o rozmaitych węzach, które tu szczególnie lubią się ukrywać.

Balkon naszego domu wychodził ku tej malowniczej stronie, a na nim zwykle po dziennych upałach pokrzepialiśmy się wieczornym powietrzem.

Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, wtedy jakoś rzeźwo robiło się w naszym teksaskim świecie. Oto przed domem stado wróbli odprawia hałaśliwy sejmik, spieszenie szukając swojej wicherzy, kury coraz powolniej gospodarują przed domem, jedne już na drzewie, drugie wlatują i znowu spadają, nie znalazłszy tam miejsca dla siebie. Poważny kogut jeszcze raz zapieje przed progiem domu i podobnież wzleci, aby spoczywać na drzewie. - Wkrótce wszystko cichnie, tylko psy i pieski jeszcze harcują po trawie, bo czują, że wkrótce muszą się rozejść do swoich domów i odbywać służbę nocnej straży.

Na koniec wszystko pogrąża się we śnie i w nim spoczywa.

Śpi wszystko. Tylko duch ciemności czuwa nad złem; ośmielony nocą, bardziej wyteża swoje zasadki i rozsiewa kłokol. Noc dla złych to matka i opiekunka w podsycaniu do zbrodni, - ale dla cnotliwych staje się ona niewyczerpaną księgą mądrości.

Po chwili ciszy rozlegają się w powietrzu wycia szakali i donośny gwizd pantery; słyhać je niedaleko domu. Coraz ciemniej wiatr poczyna dąć od północy, powietrze zimne przenika, jakiś zamglony tuman wznosi się na dole, a w górze, wysoko, krążą czarnych chmur powodzie. W takie wieczory wracaliśmy zwykle wcześniej z balkonu do pokoiów, i

zamykaliśmy drzwi i okna, bo to był znak burzy z wichrem północnym. I oto z gwałtownym wichrem pada deszcz ulewny. Piorun uderza za piorunem: trzy i pięć naraz. Cała przyroda wzburzona, - świst, szum, łomot drzew niezwykle! Straszna burza, o jakiej w Europie nie miałem wyobrażenia! Zdawało się, że dom i kościół ulegną wzburzonemu huraganowi, że drzewa zostaną wyrwane wraz z korzeniami. Po chwili powietrze oziębiło się jeszcze bardziej, i grad poczyną padać kawałami nieforemego lodu, wagi nieraz do trzech funtów. Łatwo pojąć, jakie szkody wyrządził, nie tylko już w zasiewach, ale w dobytku, w zagrodach.

W Teksasie, jak to wyżej wspomniałem, hoduje się wielka ilość bydła, a mimo to o mięso wołowe było bardzo trudno. Jatek nie mieliśmy żadnych, i nikt się też o to nie troszczył. Gdy zabito wołu, porozbierano mięso za bezcen; a większa część psuła się wnet z powodu ogromnego gorąca. Zwykle mięso to krajano na cienkie płatki, suszono je na słońcu, a potem gotowano do jedzenia. Bydła zdechłego nie zakopywano do ziemi; wielka ilość orłów wnet wszystko sprzątnęła; a zakopane do ziemi „zgniliznęby” tworzyło. A stąd orłów nie wolno zabijać pod karą 5 dolarów. W takim gorącym klimacie nie było nawet wielkiego apetytu na mięso wołowe. Zwierzyny dzikiej, zajęcy, saren, jeleni wszędzie pod dostatkiem. Ptactwa różnego, zwłaszcza w czasie jesieni i zimy ilość nieskończona. Najpospolitsze są tam dzikie indyki, to ich kraj rodzinny. Mając to wszystko, wcale nie tęskniliśmy za mięsem wołowym.

Z powodu różnorodnych niebezpieczeństw w kraju, prawie jeszcze dzikim, musieliśmy się odpowiednio uzbrojać. Każdy z nas posiadał karabin, rewolwer i dubeltówkę do polowania. Ubieraliśmy się w suknie kapłańskie tylko w kościele, poza tern zawsze po świecku. W podróży, zwłaszcza na koniach, wyglądaliśmy jak każdy zwykły Amerykanin. Wszędzie groziło nam niebezpieczeństwo od dzikich zwierząt lub od dzikich ludzi: od Indian. Indianie, pierwotni tamtejsi mieszkańcy, zaprzysięgli zemstę wszystkim białym, jako nieprawnym, według ich mniemania, najeźdźcom. Kryją się oni zwykle w rozpadlinach gór, i od czasu do czasu urządzają w nocy napady. Broni palnej nie mają, strzelają z łuków strzałami, zatrutymi jadem grzechotników.

Ludziom białym, gdy ich schwycą, skalpują głowę, zasuszają skórę z włosami, i noszą ją na piersiach. Zwinni są niezmiernie w biegu na koniach, pochyleni niemal pod nimi bez siodła i uzdy, jak sławni jacy jeźdźcy cyrkowi. W stronach, gdzie oni przebywają, wszyscy mieszkańcy muszą się mieć na ostrożności, w nocy nie wychodzić z domu. Broni palnej oni się boją, na huk strzału wszyscy, choćby i w wielkiej liczbie, uciekają.

Jeżeli już ktoś musi jechać w stronę, gdzie oni przebywają, wybiera się zwykle w towarzystwie kilku, uzbrojonych w wszelaką broń. Wśród naszych polskich osiadłości kolonia, nazwana „Bandera”, najbardziej przez nich była zagrożona.

VI

Podróże misyjne.

„Panna Marya” była głównym domem wszystkich misji polskich w Teksas. Jako przełożony, musiałem od czasu do czasu wszystkie zwiedzać. W tym celu kupiłem sobie parę koni, mały kryty powozik i wierzchowca do bliższej jazdy. Jeździłem na nim. Zwłaszcza wtedy, kiedy w wielu miejscach nie było utartej drogi i trzeba było z kompasem w rękę szukać jej sobie. Powozik był bez kozła, tak urządzony, że z siedzenia sam popędzałem końmi. W podróży trzeba było mieć żywność ze sobą; domów zajezdnych nie było żadnych,

więc musieliśmy wozić ze sobą łądę, garnki itp. Popas lub nocleg zwykle odbywał się w lesie.

Gdziekolwiek on wypadł, tam na ten czas służyło prawo posiadania w obwodzie 50 kroków. Ktokolwiek z obcych chciał do tego miejsca się zbliżyć, musiał wprerw z dala wołać i czekać na pozwolenie przyjsia. W przeciwnym razie był uważany jako rozbójnik lub złodziej, i wolno było doń strzelać. Miejsce takiego popasu, zwłaszcza noclegu, oznaczało się paleniem ognia. Drzewa, bez właścicieli prywatnych, wszędzie było pod dostatkiem. Ogień przy tym strzegł nas od wężów i dzikich zwierząt.

Mały piesek, „Lamurek”, był w podróży zawsze moim wiernym towarzyszem i stróżem. Gdy tylko zobaczył powozik, wyciągnięty z wozowni, zaraz kładł się pod nim i nie dał się już stamtąd wyprowadzić nawet ulubionymi jego kosteczkami, które pozostały z obiadu. Znał już drogę do wszystkich miejsc mojej misji, i często biegał przed końmi, tropiąc dawne ślady. Z dala też, zaledwie zoczył domy, cel naszej podróży, biegł naprzód o parę kilometrów, i poczawszy od domu, do którego zwykle zajeżdżałem, a gdzie on zawsze dostawał smaczne pożywienie, obiegał następnie z kolei wszystkie polskie zagrody, jakby chciał oznajmić o moim przybyciu.

W końcu powracał do pierwszego domu, gdzie zajechałem, i tu pochlebny szczekaniem upominał się o dawną gościnność. Znały go też wszystkie psy i pieski miejscowe, witały, i skacząc koło niego, odprowadzały go od domu do domu. On zaś, w pośrodku nich, z buńczuczną miną, nic sobie z ich towarzystwa nie robił. Opowiadali mi ludzie, jak on, mały kundel, w podobnych razach nigdy nie chciał bawić się z żadnym innym psem, a kiedy go który zmuszał do tego, pokazał mu zęby tak groźnie, że pies każdy, choćby i większy od niego, dawał mu za wygraną. Mały był, i może dlatego inne dawały mu spokój.

Pewnego razu, podczas jednej z podróży, piesek mój, spoczywający w bryczce, począł nalegać, bym go wypuścił, aby mógł pobiegać w polu.

Niechętnie na to przystałem z obawy; by go dzikie bydło nie potratowało. Doznał on wtedy nieprzyjemnej, dziwnego rodzaju przygody. Żyją w tych okolicach małe, podobne do niego, dzikie polne pieski. Amerykanie nazywają je „prairie dogs”, to jest, polne pieski. Nieprzyjemne są one dlatego, bo, broniąc się, wydają ze siebie woń jeszcze gorszą, niż nasze tchórze.

Kiedy mój Lamurek zoczył z dala takiego pieska, począł za nim gonić. Wiedziałem dobrze, jakie z tego będą następstwa, mianowicie, że potem nie będę mógł go zabrać do powozu, a tern mniej do pokoju.

Wołałem więc usilnie, by wrócił, ale gdzie tam! Zacietrzewiony, pędził wciąż za onym pieskiem. Aż wreszcie, gdy już był blisko niego, z nagłą, w jednej chwili, zatrzymał się, począł skomleć, i co tchu pędził gdzieś w bok, w innym kierunku. Zaciąłem konie i spieszyłem za nim. I oto widzę go pogrążonego w bagnie po same uszy, tylko mordeczką zwracał się ku mnie. Instynktem pojął, że te nieprzyjemne zapachy wilgotna ziemia z niego wyciągnie.

Nie zawsze jednak mogłem z nim odbywać podróże, gdyż często musiałem jechać na koniu. Miałem młodego, świeżo ujeżdżonego kasztanka. Nazwałem go „Bilik”. Kształtny był, zwinny, tylko nieco płochliwy. Znał mnie dobrze, gdyż, zwykle sam go karmiłem. To też mnie tylko jednego spokojnie nosił na sobie, każdego innego zrzucał. Nauczyłem go uciekać w czasie jakiego niebezpieczeństwa; dość było krzyknąć: „Bilik w nogi”, a wnet ruszył ze mną z kopyta. Kiedy wypadła noc w podróży, uwiązywałem go na długiej linie do drzewa, by gryzł trawę; a gdy się obudziłem, zmieniałem mu pozycję dla trawy świeżej. Noce takie nie były spokojne; sowy, puszczyki zwykle wyprawiały hałasy nad głową. Szakale bywały tak śmiałe, że gromadami podchodziły do ogniska, zwłaszcza gdy się smażyły kiełbaski. Na ludzi jednak nigdy nie napadały.

VII Polowania.

Polowanie w Teksas. można zaliczyć do najprzyjemniejszych rozrywek dla świeckich osób. Tu dopiero dla myśliwców pole do popisów. Wszędzie mogą napotkać rozmaitego gatunku zwierzyny. Sarny, jelenie, pantery, zające, dzikie koty, niedźwiedzie, szakale, wydry i t. p. Z ptactwa: dzikie indyki, gęsi, kaczki itd. Oprócz tego rozmaite węże i aligatory, czyli krokodyle. Trzeba było mieć broń urozmaiconą. Miałem też ją więcej dla obrony niż do polowania, gdyż z natury swej żyłki myśliwskiej nie posiadam. Niekiedy tylko po pracy i trudach w towarzystwie innych rozrywałem się polowaniem, najczęściej wtedy, gdy brakło mięsa do kuchni.

Otóż pewnego pięknego poranku w sześciu ochotników wyruszyliśmy na ogromnym wozie na polowanie o kilka kilometrów od „Panny Maryi”. Jechaliśmy nad głębokim parowem, i tu wszyscy zwróciliśmy uwagę na grożące nam niebezpieczeństwo, gdy wracać mieliśmy podczas ciemnej nocy; więc baczność! Trzeba uważać. Dojechawszy kilka kilometrów dalej, znaleźliśmy dogodne miejsce dla naszej wyprawy i w dolinie pod cieniem drzew rozpostarliśmy nasz obóz.

Z jednej strony płynie rzeka S. Antonio; nad jej brzegami wysokie drzewa orzechowe; tu zwykle na noc przylatują dzikie indyki. Z drugiej ścielą się przed nami bujno zarosłe pola, to miejsce doskonałe na zające; tam dalej góry, pagórki lesiste, miejsce saren, a na boku, w zarosłej dolinie połyskuje jezioro, gdzie przed wieczorem przelatują dzikie gęsi i kaczki. Po spożyciu podwieczorku każdy wziął swoją strzelbę, torbę na plecy, i rozeszliśmy się w różne strony po zdobycz.

Zaledwośmy się oddalili od siebie o kilkadziesiąt kroków, aż tu naraz słyszę odgłos strzałów - i widzę, jak padają zające jeden po drugim. Wnet i sam celuję, strzelam... ale zamiast wystrzału, słyszę tylko głuche klapnięcie kurków. - Zapomniałem nałożyć pistony! Zając tymczasem uciekł i nadbiegł na starego myśliwca, który strzelił, ale widocznie za wiele do lufy wsypał prochu, bo wraz z zającem sam się przewrócił, uderzony kolbą w twarz. Szczęściem, prócz silnego uderzenia, nic poza tym mu się nie stało. Maszerujemy dalej i dalej po borach i kniejach, aż oto z daleka spostrzegam na górze całe stado saren. Myślę: strzelać z dubeltówki, nie dosięgnę; podejść, zobaczę i uciekną; ach, gdybym miał karabin, jakże dogodnie mógłbym stąd strzelać!

Nie namyślając się dłużej, począłem do nich pełzać. Ledwo uczyniłem jakie 20 kroków, naśladując żółwia, aż tu z nagłą coś mi szcęknie przy samej twarzy. Jakiegoż strachu doznałem, gdym się przekonał, że to był wąż grzechotnik!

Porzuciwszy dubeltówkę, co tchu uciekłem wstecz. Po chwili stanąłem i spojrzałem w stronę zagrożoną, aby się przekonać, czy wąż nie biegnie za mną. Ale już go nie widziałem... Nieśmiało potem zbliżyłem się do strzelby, zabrałem ją i poszedłem dalej. Ale tu znowu fatum! Oto w dystrakcji nabijam drugi raz strzelbę, pakując na dawny... cały nabój nowy. Idę dalej w las, wkrótce widzę zająca, zmierzam, strzelam... i nie dość tego, żem się przewrócił, ale straciłem przytomność i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. W oczach tysiące różnobarwnych zaiskrzyło mi się świeczek, w uszach szum, a twarz jakoby na drożdżach rosła.

Po chwili wstaję i rozglądam się, co się dzieje koło mnie. Naprzód obejrzałem dubeltówkę, czy cała, potem chwytam się za nos, za twarz, czy krew nie płynie? Nie! W końcu, po tej smutnej walce, jak żołnierz po przegranej bitwie, wracam do obozu. Po drodze spotykałem zające, ale już nie dbałem o nie. Dziękowałem Bogu, że nic się gorszego nie stało, gdyż wskutek przeładowania lufy mogłaby nastąpić eksplozja i... śmierć niechybna.

O późnym zmroku powrócili i moi myśliwi, objuczeni zwierzyną. – „A cóż ksiądz Fararz upolowali?” odezwał się jeden z nich. „Nic”, odpowiedziałem, i opowiedziałem im całą moją fatalną przygodę. - Po spożyciu wieczerzy wracam do domu. - W drodze, jak to zwykle bywa po polowaniu, rozprawiają wszyscy wesoło o swej zręczności myśliwskiej, gdy wtem dojeżdżamy po ciemku do owego parowu. Naraz, na nieszczęście nasze, wszyscy go sobie przypominamy. Gdybyśmy byli koniom zostawili swobodę, na pewno byłyby poszły tą samą, co poprzednio, bezpieczną drogą. Ale jeden krzyczy: na prawo! drugi: na lewo! trzeci: prosto! szarpną w różne strony, - a w końcu wraz z wozem i końmi wpadamy do głębokiego parowu. Szczęściem, że parów był piaszczysty, i my stoczyliśmy się naprzód przed wozem, a jeszcze większe szczęście, że żadna broń nie wypaliła; poza tern nic złego się nam nie stało. Musieliśmy jednak wracać do domu piechotą, bo wóz był zupełnie uszkodzony.

Opowiem jeszcze o polowaniu innego rodzaju: o polowaniu zwierząt, owadów między sobą.

Teksas, jak już wiemy, sławne jest z niezmiernej ilości bydła, pasącego się swobodnie, bez dozoru, na obszernych polach tego kraju. Zwykle bydło trzyma się razem tabunami w swoich zagrodach, mniej więcej 4 do 5 kilometrów w obwodzie.

Dalej rozciągają się inne i inne zagrody nieomal na całem terytorium Teksas. Otóż kiedy pantera, lub jakiś inny drapieżny zwierz wśród nich się ukaże, wtedy pierwsze zwierzęta, które niebezpieczeństwo spostrzegły, dają znak przeraźliwym beczeniem innym, i wnet z rozmaitych stron pędzi bydło na pomoc, i tak becząc, pędzą owego zwierzka naprzód siebie aż do granic następnego tabunu; ten potem pędzi go dalej z tą samą beczącą paradą, aż w końcu zwierzę zmęczone pada, lub kryje się gdzieś w skalnych rozpadlinach.

Jelenie i sarny polują na węże w sposób następujący: Kiedy jelenź zobaczy z dala śpiącego węża, po cichu, ostrożnie podchodzi do niego, przybliża się nagle, podskakuje w górę, i z ukosa tak go tnie kopytkami, że wąż, boleśnie zraniony, wije się wokoło siebie i w krótkim czasie ginie.

Są także w Teksas duże jadowite pająki: tarantule. Na wiosnę pojawiają się w wielkiej ilości. Otóż równocześnie z nimi zjawiają się pewnego rodzaju muchy wielkości i kształtu naszej osy, które na nie polują. - Chodząc po polach nieraz widziałem, jak one, latając, tropią te pająki. Pająk, usłyszawszy na jakie 15 kroków brzęczenie owej muchy, przestaje, jak gdyby zamagnetyzowany, biegać, drży cały, - mucha nadlatuje, i tak go tnie w grzbiet jakimś swoim żądłem, że pająk wnet ginie.

Ludziom muchy te nic nie szkodzą.

VIII

Praca parafialna.

Wspomniałem wyżej, że ks. Feliks Zwiardowski wyjechał z nami jako kleryk i student teologii. - Wyświęcił się dopiero w Teksas, w katedrze biskupiej w Galvestonie. Pierwszą mszę św. odprawił w „Pannie Maryi”. Wszyscy księża polscy, jako też i ludzie z rozmaitych polskich „osiadłości”, zjechali się do „Panny Maryi” na tę uroczystość. Świętowaliśmy całych 5 dni. Przez trzy dni obchodziliśmy 40-godzinne nabożeństwo, po czym jeszcze dwa dni, w dopełnieniu misji rekolekcyjnej. Kościół był przepelniony co dzień od godziny 5. z rana do godz. 7. wieczorem.

Codziennie bywały po trzy nauki, oprócz innych pobożnych ćwiczeń.

Radość powszechna owionęła wszystkich Polaków, bo to był pierwszy dla nich dzień takiego nabożeństwa. W ciągu tego czasu nikt w polu nie pracował, a w domu i poza domem w szatach świątecznych radośnie dzielili się z sobą tem niespodziewanym szczęściem.

Wszyscy, bez wyjątku, z budującą skruchą przystępowali do świętych Sakramentów. Dzieci potajemnie wybiegały z domów rodzicielskich, spiesząc do kościoła na naukę. Domy często pozostawały puste - otwarte, bez żadnej straży. Opatrzności Bożej zawdzięczano, że nigdy nic w domach nie przepadło.

W pierwszym dniu nabożeństwo było zastosowane do prymicji ks. Zwiardowskiego. Około godz. 10. z rana tłum ludzi przed probostwem w świątecznych szatach szykuje się do pochodu w uroczystej procesji. Za chwilę rozlega się śpiew pięknej, pobożnej melodii. Od probostwa idziemy wszyscy w procesji do kościoła. O. Zwiardowski, ubrany jak zwykle do Mszy świętej, w asystencji kilku kapłanów, z pobożnym wzruszeniem postępuje na końcu orszaku.

Pięćdziesiąt małych dziewcząt, ubranych w wieńce i białe sukienki, rzuca kwiaty pod nogi prymicjanta. Przed samym ołtarzem przywitałem go krótką przemową, i zaraz rozpoczęła się Msza święta. Uformowana gwardia narodowa raz po raz dawała salwy. Na te prymicje zachciało się niektórym zapaleńszym koniecznie mieć armatę, a nie mogąc nigdzie jej dostać, musieli sami ją stworzyć. Udają się więc z tern do jakiegoś starca, słynnego jeszcze w Europie strzelca i myśliwca. Jakoż po przedstawieniu tej sprawy, wnet zabrał się do roboty.

Niedaleko od jego domu leżał gruby, stary dąb; wierzch jego już był zużyty dawno, pozostawała tylko najgrubsza i najtwardsza część, to jest, odziomek, czyli główny pień. Mój starzec bierze tedy potężny trzycalowy świder i wierci nim dziurę przez środek pnia. Potem wzmocnił go pięcioma żelaznymi obręczami, i armata gotowa.

Z pomocą kilku mołojców zaniósł ją na miejsce, do strzelania najstosowniejsze. Obok rozpalił ogień dla rozgrzania lontu, Każdy przybiegał, by oglądać ten niespodziewany wynalazek, podziwiał go, winszując artyście tak śmiałej sztuki. „A cóż to za straszny garłacz!” „To huknie! huknie!”

„Czy widzisz Kuba? Ino się przypatrz!”

„Ale kto to będzie z niego strzelał?” „Nie kłopotcie się o to” rzeknie starzec, „kto umiał ją zrobić, potrafi też z niej strzelać. Wy, chłopcy, pilnujcie, by ogień zawsze gorzał i lont był rozpalony”.

Kiedy już armata była nabita, ułożył ją na odpowiednim miejscu, i czekał na hasło do pierwszego wystrzału. Miał on być dany za uderzeniem kościelnego dzwonu. Otóż i chwila ta nadeszła. Widzowie rozbiegają się w różne strony, by uniknąć niebezpieczeństwa, i kryją się poza drzewa i poza węgły kościoła, on sam zaś również się ukrył za wał, ułożony z 12-calowych belek.

Proszę sobie przedstawić oraz 80-letniego starca z długą, siwą brodą, skurczonego wśród belek, z długim rozżarzoną lontem, z wlepionym na wieżyczkę kościoła wzrokiem, skąd wyczekuje sygnału. Wtem jakby grzmot straszny rozległ się w powietrzu, po czym liczne z rewolwerów strzały. „Doskonale!” krzyknęli. „Oto huknęło! Prawie aż do „Heleny”¹ było słychać; „trzeba zaraz nabijać znowu”. Tymczasem nasz stary kanonier biega z miejsca na miejsce i czegoś szuka.

„Czy nie widzieliście tam gdzie?” woła. „Czego?” „A, armaty! Już jej tu niema, ani lontu w ręku nie mam, snadź biesy jakieś wszystko porwały”. Kiedyśmy zaraz poczęli szukać, znaleźliśmy tylko drobne odłamki nie tylko drzewa, ale i żelaznych obręczy.

Szczęściem, że nikomu nic się nie stało, gdyż niektórym odłamki około głów świsnęły, a lont, z rąk wyrwany, padł przed kościołem, na jakie sto kroków od miejsca wystrzału. Dwunastocalowe belki, poza którymi ukrył się ów starzec, strzaskane były zupełnie. Jakby cudownym sposobem on sam ocalał.

¹ Miasto powiatowe o 5 kilometrów odległe od „Panny Maryi”.

Po prymicji i po tej uroczystości O. Zwiardowski pozostał w „Pannie Maryi” i pomagał mi w pracy. Wkrótce też urządziliśmy cały porządek naszych nabożeństw. Kościół stał się głównym atrakcyjnym punktem naszej Polonii.

Z Rzymu sprowadziliśmy do głównego ołtarza wielki, piękny obraz Niepokalanego Poczęcia, pędzla Nowotnego. Sprawiliśmy doń wspaniałe pozłacane ramy, wreszcie stacje drogi krzyżowej, ławki, konfesjonały itp. – Na koniec stanął i dom piętrowy, murowany, gdzie na dole była szkoła i pomieszkanie dla nauczyciela, a na górze nasze mieszkanie.

W parafii zaprowadziliśmy bractwo Różańca św., osobne dla mężczyzn, a osobne dla kobiet. Za pośrednictwem żywego Różańca urządziliśmy parafię podług danych nam przez O. Semenę wskazówek. Była to jakoby jedna wielka rodzina, w miłości i zgodzie w zagrodach swych pracująca. Kościół otoczyliśmy sztachetami, i mogliśmy już swobodnie w jego dziedzińcu odbywać procesje. Oprócz dzwonka na kościele, sprawiliśmy jeszcze dzwon drugi większy, i tuż obok kościoła zbudowaliśmy drewnianą dla niego dzwonnice. Każdy z nas kolejno dzwonił nim co dzień na Anioł Pański. Na dziedzińcu przed frontem kościoła stał krzyż z figurą P. Jezusa. Poczciwi ludzie, wybierając się z kraju do Ameryki, przywieźli z sobą figurę P. Jezusa, a tu na miejscu wyciosali krzyż. Każdy, kto wchodził do kościoła, zwykle w pierw pomodlił się przed nim, wspominając swój kraj rodzinny. Wszystkim on był drogą pamiątką. Niejeden tu we łzach koił swoją tęsknotę, i czerpał otuchy żywej wiary w świętem obcowaniu dusz starego i nowego kraju. Każdy czuł się tu bratem, siostrą, w dźwiganiu wspólnej niedoli na obcej ziemi. Pewna kobieta, pogrążona w tęsknocie za rodzinnym krajem, klęcząc u stóp tego krzyża, zalana łzami, zauważywszy, że Chrystus Pan ma pochyloną głowę w stronę, skąd ona z Europy tu przybyła, zawołała głośno: „O Panie! widzę, jak i Tobie tęskno za starym krajem, tak główkę Swoją pochylileś w stronę Europy!”

Błogosławieństwo Boże było z tym ludem wyraźne. Wśród tylu niebezpieczeństw, wśród trudności, przez jakie przechodzić musieli, mało było przypadków śmierci. Lekarzy nie mieliśmy tam żadnych; do amerykańskich, zwłaszcza w Teksas, nie podobna było mieć zaufania, gdyż byli to ludzie bez żadnych odpowiednich nauk, po prostu szarlatani, sami się mianujący doktorami. W chorobach tedy musieli nasi ludzie sami sobie radzić i zdać się na Opatrzność Bożą. Zaledwo kto zachorował, wnet posyłano po mnie, bym go zaopatrzył Sakramentami; a wtedy zwykle prosili, abym też i chorobie zaradził. Zaraz przy pierwszym chorym prośba osób z jego otoczenia, bym leczył, była tak błagająca, że w końcu musiałem zabrać się do jakiegoś leczenia. Pomyślałem sobie w duszy: Ich wiara tak wielka może jest pewną wskazówką Woli w tem Bożej. Była to jakaś silna gorączka, tak gwałtowna, że pacjent mój, pod kupą pierzyn zziębnięty do siności, zdawał się lada chwilę życie zakończyć. Działo się to wśród lata w największe upały.

Siadłem koło niego, kazałem przynieść zimnej wody studziennej, i po trochę, co pięć minut, dawałem mu pić. Uroczysta cisza zapanowała wśród otoczenia, na twarzy wszystkich promienieje nadzieja, i mój chory raźniej na mnie spogląda. Widzę już, jak twarz jego poczyna się mienić, przybiera kolor właściwy, aż w końcu występuje pot, wszystko się odmienia, i chory powrócił do zdrowia.

Innym razem wezwano mnie, bym spieszył z Sakramentami do jednej kobiety. Ponieważ przestrzeń była za daleka, pojechałem na koniu. Poczciwa, bogobojna niewiasta, żona gospodarza, wiała się w boleściach na łóżku. Ledwo mogła się wypowiedać i przyjąć św. Sakramenty. Uspokoilem ją, jak i całe otoczenie, by zaufało Bogu i nie traciło nadziei. Chora była tak osłabiona kilkodniową niemocą, iż zaledwo z cicha mogła mówić. Po namyśle kazałem ugotować rosółu z kury, po czym po łyżeczce sam jej podawałem, aż, wypiwszy wszystko, wnet usnęła. Zabrałem tedy jej rodzinę do drugiego pokoju, by jej nie budzić, i tam siedliśmy wspólnie do stołu dla spożycia obiadu. Zostałem umyślnie dlatego, by doczekać końca i zobaczyć, co z tego będzie. Spała dwie godziny, i było już jej znacznie lepiej. Podałem jej znowu trochę rosółu, po czym ona z wdzięcznym wyrazem usnęła powtórnie. Teraz

już byłem pewny wyzdrowienia; pożegnałem wszystkich z obietnicą odwiedzenia ich nazajutrz i odjechałem. Chora wkrótce wyzdrowiała zupełnie.

Innym znowu razem zawezwali mnie do jakiegoś parafianina, ukąszonego przez grzechotnika. Konno pospieszyłem do niego ze św. Sakramentami. Biedak cierpiał strasznie. Wąż ukąsił go w nogę, i rana już była prawie nie do uleczenia. Ciało, zatrute jadem, rozpadło się na dwie połowy, aż kości było widać. Po udzieleniu mu Sakramentów, nieszczęśliwa żona i dzieci poczęły błagać, bym ratował i leczył. Na próżno tłumaczyłem, że to niemożliwe, że nogę trzeba amputować, a tego w żaden sposób podjąć się nie mogę. Nic nie pomogły moje uwagi, wciąż płaczą i proszą. Wtedy, by nieco się zreflektować, wyszedłem z domu, gdyż wewnątrz, w takim zamieszaniu, nie podobna było żadnych myśli zebrać. Siadłem na konia, i odjechałem z pewną obietnicą natychmiastowego powrotu. W ciągu drogi przemyślałem nad tym, co począć, z czym za chwilę wracać i jak go leczyć? Aż oto, ni stąd ni zowąd, przypominam sobie, że w domu mam u siebie flakonik oliwy, jaką wziąłem z lampki, palącej się przed cudownym obrazem Matki Boskiej w Vicovaro. Byłem już niemal pewny cudownego uleczenia. Tę więc oliwę zabrałem, i cwałem popędziłem z powrotem. Powiedziałem choremu, jaka to jest oliwa, kazałem wszystkim uklęknąć i zmówiliśmy litanie do Matki Boskiej. Potem kazałem ranę obmyć ciepłą wodą, następnie wziąłem piórko, pomazałem ranę oliwą i, wzbudziwszy w chorym nadzieję powrotu do zdrowia, odjechałem.

Nazajutrz widziałem, jak puchlina już ustąpiła, bole ustały, a rana z szafirowej zrobiła się biała. We dwa dni później chory mój wyzdrowiał, i dnia czwartego przyszedł do kościoła podziękować Bogu za cudowne wyleczenie. Takie i tym podobne rzeczy powtarzały się często, i stąd uchodziłem w ich mniemaniu za niepospolitego lekarza. Oczywiście miłosierdzie Boże i ich szczerą, głęboką i gorącą wiarą sprawiały to wszystko.

Dziwny dopust Boży był w następujących zdarzeniach: Jako przełożony wszystkich misji polskich w Teksas, musiałem je przynajmniej raz do roku kolejno zwiedzać. Miałem takich misji sześć w rozmaitych stronach. Otóż zwykle tak się przydarzało, że, gdy który z moich parafian umarł, wtedy mnie w domu nie było. Nie umierali oni bez św. Sakramentów, gdyż zawsze był O. Zwiardowski, lub jakiś inny kapłan, tylko właśnie umierali w mojej nieobecności. Gdym odjeżdżał, żadnych chorych nie było. W końcu nie chcieli mnie nigdzie puszczać z obawy, by kto nie umarł. Ponieważ lud był pobożny, wierzący, łatwo im mogłem wytłumaczyć konieczność mojej podróży, jako. też zdania się na Opatrzność Bożą.

W końcu już nie sprzeciwiali się mojemu wyjazdowi, tylko żądali opowiedzenia się, dokąd jadę, by w danym razie przynaglić mnie do powrotu. Zdarzały się też i w tych warunkach wypadki nagłego zasłabnięcia. I co dziwniejsza! Kiedy mogłem z dala pospieszyć z pomocą, chory wyzdrowiał, gdy zaś, pomimo najlepszej woli, musiałem się spóźnić, chory życie zakończył. W zdarzeniach podobnych uznaliśmy wyraźną Opatrzność Bożą, i już każdy odtąd spokojnie patrzył na śmierć.

IX

Jadowite zwierzęta w Teksasie.

W Teksas oprócz węzów grzechotników, skorpionów i innych różnorodnych niebezpiecznych zwierząt, jest jeszcze pewien rodzaj owadu, tak zwany „Skalopentra”, bardzo jadowity. Długości mniej więcej 15 centymetrów, pół centym. szeroki, jak stonóg ma wielką ilość nóżek; u głowy posiada dwa ostre sierpy, pod którymi są pęcherzyki, napełnione śmiertelnym jadem. Pełzając, sierpy te trzyma do góry, w chwili groźnej tnie nimi po ciele i zapuszcza jad. Dostaje się on i do mieszkań ludzkich, wciska do pościeli, a wtedy biada śpiącemu, - śmierć niechybna. Kilka przypadków było takich, że gdy we śnie przeszedł ten

robak przez piersi, w parę godzin śmierć następowała. Przyrodnicy mi mówili, że one są tylko w Teksas.

Pewnego razu siedzieliśmy wraz z ks. Zwiardowskim na kamieniach przy kościele, wtem ze zgrozą ujrzałem, jak ten robak pełzał mu po plecach. Szczęściem, że miałem pręcik w rękę, i wnet go strąciłem. Innym razem zabiłem go w zakrystii, potem znowu w kościele.

Zawdzięczaliśmy tylko Opatrzności Bożej, że nigdy nie mieliśmy śmiertelnych od ukąszeń przypadków.

Po polach, lasach nieskończona była ilość grzechotników. Z tymi jednak było bezpieczniej o tyle, że z dala zwykle przestrzegają swoim grzechotaniem. - Jest tam też gatunek węzów, bez żadnego jadu, ale ma on inny sposób napadania na ludzi; oto chłoszcze ofiarę swym ogonem. Kryje się zwykle w gęstych zaroślach, a kiedy z dala postyszy szelest zbliżającego się człowieka, podnosi się, wyprężony na ogonie, rozgląda wokoło, patrząc, skąd mu grozi niebezpieczeństwo, i wnet ucieka w przeciwną stronę. Ale kiedy kto goni za nim, wtedy zwraca się w stronę ścigającego, niespostrzeżony przybiega szybko wśród trawy, Obwija się o nogę, i chłoszcze ogonem po plecach, po twarzy, i gdziekolwiek dopadnie; potem chyżo ucieka i ginie w zaroślach. Oczywiście bronić się wtedy nie podobna, trzeba tylko osłonić rękami twarz i oczy, i czekać aż chłosta się skończy.

X

Miasto San Antonio.

Rozległość misji naszej teksaskiej, rozciągającej się od wioski Gazet do miasta Bandery na przestrzeni 200 z górą kilometrów, bez kolei żelaznej, niemało utrudniała nam nasze podróże.

Po trzech latach pracy mieliśmy już kilka polskich kościołów. Jako przełożony tej misji musiałem od czasu do czasu zwiedzać je wszystkie, jak to już wyżej zaznaczyłem. Nie było też w wielu miejscach wozów pocztowych, a komunikacja listowna odbywała się konno. Do niektórych miejsc osiadłości polskich nawet dróg nie było. W podróżach naszych musieliśmy więc wozić ze sobą całą kuchnię, gdyż z wyjątkiem po miastach, żadnych domów zajezdnych po drogach nie było. Kraj ten po największej części dziki, mało zaludniony, więc przez cały dzień jazdy czasami nikogo się nie spotkało.

Miasto San Antonio, posiadające 20 tysięcy mieszkańców, zbudowano na równinie po obu stronach rzeki tej samej nazwy. Odległym było o 60 mil angielskich od „Panny Maryi”. Posiadało wówczas pięć katolickich kościołów: meksykański, angielski, francuski, niemiecki i polski. Dwa klasztory: męski - należący do Braci szkół chrześcijańskich, i żeński Urszulanek. Pierwsi mają angielskie Kolegium, do którego uczęszcza 700 z górą młodzieńców. Urszulanki w klasztorze swoim utrzymują pensjonat dla dziewcząt, których razem, internistek i dochodzących, mają 600. Ks. Wincenty Barzyński po dwurazowym tam pobycie zbudował kościół, a przy nim też szkołę i mieszkanie dla siebie.

Pewnego razu, wybierając się do San Antonio, rzekłem do p. Barzyńskiego, ojca ks. Wincentego: „Jutro rano pojedziemy do S. Antonio; dzisiaj musimy wszystko przygotować do podróży: chleb, masło, mięso, jaja, rądle itp. Trzeba wyjechać raniutko, by dopędzić naszych, którzy pojechali dziś z rana z furami kukurydzy. Ku wieczorowi musimy ich dopędzić, a będzie nam weselej razem nocować”.

Nazajutrz, po odprawieniu Mszy św. i po śniadaniu, zaprzęgliśmy konie i wyruszyli w drogę. „Za pozwoleniem dobrodzieja, jeszcze chwileczkę?” odezwał się p. Barzyński, „muszę sobie kupić śrutu, po drodze zabiję uszatego (zająca)”. Piesek tymczasem już wybiegał naprzód i czekał na rozstajnej drodze, w kierunku zamierzonej podróży.

Otóż i wyjeżdżamy. Ranek pogodny, świeży. Po krętych drożynkach i ścieżkach widać liczne bydło domowe, jak z swoich zagród rozchodzi się w różnych kierunkach, aby szukać dla siebie pożywniejszej trawy. Na łąkach rzą konie, przy nich wesoło hasają źrebięta, tam dalej jakieś dziewczę pędzi gęsi i kaczki do stawu. Słychać, jak nuci pieśń pobożną: „Już od rana” itd. Z odległych ogrodów widać naszych gospodarzy, Polaków, pracujących na roli. Spotkani po drodze witają i żegnają Bogiem, życząc i domagając się rychłego naszego powrotu.

Zdawało się, że cała przyroda chciała nie tylko okazać uszanowanie i radość dla ludzi tych, pracujących z chwałą Bożą, ale im nawet w onej dopomóc.

O, piękne to zaiste, gdy człowiek, pracując, chwali Boga, który go do tej pracy stworzył, a od którego pomyślny jej skutek zależy! Bodajby tak zawsze było i pozostało u nas! Już mijamy „Pannę Marię” i lasek „Górzeńców”, jak go nasi koloniści nazwali, i dalej jedziemy polem.

P. Barzyński z dala spostrzegł zająca, ja znowu niedaleko drogi drugiego, ale nie zatrzymujemy się, jedziemy dalej, korzystając z chłodniejszej pory przed południowym upałem. Jedziemy tak bez zatrzymywania się 18 mil ang. aż do lasu, nwanego, dla jego drzew, „Muszkieciny”². Tu zwyczajnie wszyscy stają na popas, i my zatrzymujemy się na obiad. Konie zgrzane; na zegarze pół do 12., słońce coraz bardziej dopieka i mój mały kudłacz na wozie, widać, potężnie zgrzany, bo język wywalił, i mruczy niespokojny, by już stanąć na popas.

Wyprzęgamy konie, a spętawszy je, puszczone na trawę, sami zaś znosimy drwa, patyki i rozniecamy ogień. Już wszystko przygotowane, ogień bucha w górę, przy nim z jednej strony gotuje się woda na kawę, z drugiej smaży się słonina, do niej dorzucamy kiełbaski, kawałki kury, i zaostrzamy apetyt.

„Ależ nie wszystko razem, panie Barzyński! Trzeba pamiętać o wieczery, i jeszcze o śniadaniu jutrzejszym!” – mówię.

„Eh, co tam myśleć o jutrze; a flintę po co Wiozę ze sobą? Zabiję parę zajęcy, kilka przepiórek, a może i parę kaczek na stawie, to będziemy mieli co jeść”. Gdyśmy tak gwarzyli pod cieniem drzewa, aż tu dopalająca się głownia wpada do rądla i słoninę zasypuje węglami, a wodę do kawy... wywraca!

„Cóż my teraz będziemy jedli? Cały obiad zniszczony, ledwo widać kiełbaski!”

„Ha! musimy zjeść co się da, nic innego nie mamy, wodę trzeba zagrzać inną!”

Szukamy naszej baryłeczki, a i tu przypadek; z powodu naszej nieuwagi wszystka woda wyciekła z niej.

Teraz bieda, musimy czerpać z rowu, gdzie pije i kąpie się bydło. Biorę tedy baryłkę i idę z nią do rowu. Ledwo się zbliżyłem, aż tu wpada do wody jeden wąż, za chwilę drugi, tam dalej trzeci; obawiałem się; żeby mi który nie wśliznął się do baryłki.

Woda ta wyglądała zupełnie jak kawa z mlekiem. Wszakże dodajemy do niej nieco kawy, cukru, i poczęliśmy z apetytem jeść nasz obiad. Słonina, zmieszana z węglem, zgrzytała w zębach; ale pocieszamy się spożyciem mlecznej kawy..., a w rzeczy samej osłodzonych mętów.

Po obiedzie, sprzątnąwszy wszystko, położyłem się pod cieniem drzew na spoczynek, a p. Barzyński wziął dubeltówkę i poszedł na polowanie.

² To drzewo rośnie tylko w Teksasie, dlatego nie wiem jak je nazwać po polsku. Wielkości naszej zwyczajnej wierzby, koloru czarno-czerwonego, twarde jak heban, liście cienkie a długie, przy nich wiszą strączki, podobne do grochu, ale pożywe tylko dla bydła.

Za chwilę posłyszałem strzał, wnet drugi, dalej już nic nie wiem, bom zasnął. Ocknąwszy się, wsypałem koniom kukurydzę, i potem odmawiałem brewiarz. Po odmówieniu pacierzy, konie znowu puszczałem na trawę i wyczekuję p. Barzyńskiego. Wtem w sąsiednim krzaku spostrzegam wijącego się węża, za zbliżeniem się jego poznaję, że grzechotnik. Biorę rewolwer i strzelam..., nie trafiłem; strzelam drugi raz, i znowu chybiam. Wąż, rozdrażniony szelestem krzaku, podniósł łeb do góry, wyprężył się i mierzy do mnie, wtedy oburącz wziąłem rewolwer i strzeliłem po raz trzeci. Teraz trafiłem, kula węża przeszła. Nie tracąc więcej nabojów, dobiłem go kijem. Tymczasem nadszedł p. Barzyński, dźwigając w torbie dwa zające. „Doskonale! mamy wieczerzę”, woła, „zaprzęgajmy konie i jedźmy dalej, bo już 4-ta godzina”.

W ciemną noc dojeżdżamy zwolna do naszego polskiego obozu. Tu i ówdzie, opodal drogi, widać ognie jakichś innych podróżnych, snadź kupców, jadących z towarami do S. Antonio. Widać, jak jedni się kręcą, drudzy sporządzają posiłek i o czymś gwarzą. Wreszcie, nieco dalej, poznajemy ognisko naszego obozu, bo przy nim gwar, krzyk największy. „Hej! niewiaro! takiś się zaplątał!” (do konia). „Halo! jak się macie? Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Przecież dopędziliśmy was, będzie nam weselej razem nocować”. Zaraz rozpręgliśmy konie, uwiązaliśmy je na długich powrozach do drzew, i zabraliśmy się do sporządzenia wieczerzy. „A macie co do jedzenia?”

„Oto my mamy dwa zające, smaźcie, a posilimy się wszyscy!” Tymczasem wzięwszy burnus pod głowę, położyłem się na trawie, by trochę odpocząć, a właściwie, aby posłuchać rozmowy naszej braci.

„Nie masz to, „księżoszku”, jak w naszym starym kraju (zwraca się do mnie jeden). Człowiek sobie zajechał do oberży, zjadł i wyspał się wygodnie bez żadnej troski o konie, a tutaj trzeba spać w lesie razem z grzechotnikami, co chwila trzeba wstawać, by zobaczyć, czy koni nie skradli, a przynajmniej, czy się nie poplątały”.

- „Dziękuję wam za wasze pruskie przyjemności (odpowiadam) i jakąż tam mieliście swobodę? Czyż nie musieliście po większej części tylko dla króla pracować? Ledwo chłopak dorósł, już go ciągną do wojska, kogo i czego bronić? Oto królestwa nie swego, ale pruskiego; tracić zdrowie, życie, i za co? A podatki? Czyż małe? Czy zapomnieliście, jak was obdzierali? Samiście nieraz o tern między sobą mówili, że u biednych brali ze ścian obrazy, z łóżek pościel i t. p. Gdziekolwiek chcesz pojechać, musisz mieć jakieś świadectwo od wójta, a zaledwo przyjedziesz do sąsiedniej wioski, już jesteś jakoby obcy wśród swoich, każdy na cię z ukosa patrzy. Oto wasza pruska swoboda! I jestże czego żałować? Wolę ja tutaj, choć niewygodnie, ale swobodnie”.

„Ta! Ono to tak! Ale zawsze u nas było lepiej, niż pod Moskałem”.

- „Powiem wam, że to jednaki tyran, tylko tu przebiera się w niedźwiedzia, a u was w lisa. Ależ, co tam rozprawiać będziemy o starym kraju, jesteście w Ameryce, a w tej chwili w lesie i czyż nam źle? Zresztą musimy tutaj uczyć się ufności w Opatrzność Bożą. Słyszeliście, a może widzieliście i sami rozmaite klęski, jakie się zdarzały między Polakami. Ileż to razy bliscy byli śmierci, a jednak P. Bóg ochronił. Nieraz matka zostawiała swoje niemowlę, bawiące się na trawie, a sama odeszła na chwilę do jakiejś roboty, potem, gdy powróciła, z przerażeniem spostrzegła koło dziecka jadowite pająki, a czasem i węża. Raz pewna Polka, przychodząc w nocy do domu swojego, nastąpiła bosą nogą na węża, po ciemku czuła tylko pod stopą coś zimnego, miękkiego a niezwykłego, dopiero przy świetle przekonała się, że to był grzechotnik”.

„Księżoszku!” przerywa mi jeden ze słuchaczy, „tu są takie straszne węże, iż pewno nigdy jeszcze Oni nie widzieli. Raz mi opowiadał jeden Amerykanin, że kiedy jechał konno przez las, nagle stanął mu koń na drodze, i nie chciał iść dalej, potem począł drgać i tak trząść się, iż ledwo mógł ustać na nogach; oglądając się ów Amerykanin w jedną i drugą stronę, aż tu spostrzegł ogromnego węża, obwinionego wokoło drzewa, z otwartą paszczką, jakoby

magnetycznie przyciągającego konia do siebie. Na próżno zmuszał konia do ucieczki, nie ruszał się z miejsca, wtedy z konia zeskoczył i ledwo siłą z miejsca go odciągnął. Nie miał przy sobie żadnej broni, pojechał czym prędzej do najbliższego domu, ale z powrotem już węża nie znalazł”.

Wtem dają się słyszeć stada wyjących szakali. – „Słyszycie, co za muzyka!” zapytałem.

„Fararzu, jak my pozasypiamy, to one przyjdą tu do naszych kępów (miejsce popasu) i będą kradły chleb, mięso, co dopadną, ognia wcale się nie boją; na polach ciągle się pali, one już z tern się oswoiły; czują, że, gdzie ogień, tam jest coś do zjedzenia, i byle tylko koło ognia ucichło, wnet przychodzą do obozu. Raz mi w nocy z pod głowy wyciągnęły słońcę”.

- „Ha! ha! to śmieszne”.

„Tak, śmieszne, ale prawdziwe”.

- „I czyż Wam głowy nie nadgryzły!”

„O”, powtórzyli wszyscy, „one człowiekowi nigdy nic nie robią, jeszcze podobnego tu przypadku nie było, jak to się zdarza w starym kraju”.

Gwarząc tak o tym i owym, w końcu usnęliśmy wszyscy. Na drugi dzień, raniutko, śniadanie już było przygotowane, konie dojadły obroku, i my po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Już na kilka mil angielskich widzimy z dala San Antonio. Oto z tej strony miasta polski kościół, a na probostwie drzwi otwarte; zapewne nas oczekują. Wreszcie stajemy przed domem.

Po przywitaniu się, rozmowie i chwili wypoczynku, poszedłem do miasta dla załatwienia sprawunków, jak to zwykle bywa przyjeżdżającemu ze wsi. I tak dzień zeszedł, iż ledwo wieczorem mogłem pomówić z braćmi moimi. Po odmówieniu brewiarza i po spożyciu wieczerzy odwiedzają nas Polacy; w końcu po krótkiej rozmowie rozchodzą się do swoich domów; my zaś jeszcze rozmawiamy o naszych misjach, jak to zwykle w podobnych odwiedzinach. Wreszcie zabieramy się do spoczynku. - Około północy przebudza nas jakieś gwałtowne stukanie do drzwi.

- „Kto tam?” pytamy, i usłyszeliśmy głos jakiejś przerażonej kobiety: „Dla Boga, „księżozsku”, proszę otwierać! to ja” (wymienia nazwisko).

- „Czego chcecie?”

„Na rany Paniunki Przeczystej (sic!) proszę otwierać!” Zbliżyliśmy się wszyscy do drzwi, i otwieramy... a ta przestraszona kobieta prosi o spowiedź.

- „Jak to, teraz, o tej porze? Idźcie do domu, a jutro rano przyjdźcie do kościoła!”

„Nie mogę, na rany, nie mogę, bo... bo... tam na kominku u sąsiadki siedzi diabeł, właśnie wprost stamtąd idę i tu przybiegłam”.

- „A co tam bać się diabła, tym bardziej, żeście go nie widzieli w swoim domu, zresztą nie jest on taki straszny, kiedy was zapędził do spowiedzi. Czyście go widzieli dobrze, jak wygląda?”

„A jakże, widziałam, cały czarny z rożkami, i przedrzeźniał się ze mnie”.

- „Ej, kobieto, weź święconą wodę, i idź spokojnie do domu; to jakiś błazen, nie diabeł, pewno teraz śmieje się z was!”

„Nie pójdę, „księżozsku”, choćbym miała stać całą noc tu za drzwiami, to wolę pod progiem waszym zginąć, niż w moim domu lub na ulicy”.

Próżne było wszelkie tłumaczenie dla biednej, niespokojnej wyobraźni; musieliśmy w końcu zadość uczynić jej prośbom, po czym spokojnie odeszła do domu.

Po odprawieniu trzydniowej misji, na czwarty dzień z rana, po nabożeństwie, wybraliśmy się z ks. Wincentym Barzyńskim na misję do Bandery, 50 mil angielskich na północ od S. Antonio.

Dodam tu jeszcze jeden budujący czyn ks. Barzyńskiego. Żalił się on wtedy przede mną na kilku swoich parafian, mówiąc, że są niespokojni, i że swoim złym wpływem bardzo mu przeszkadzają w zaprowadzeniu porządku w parafii. Zgromiłem ich z ambony i zagroziłem, że zabiorę im księdza. - Tego się ks. Barzyński nie spodziewał i było mu to przykro. Wieczorem, w sekrecie przed nami, w czasie nieszporów, wstępuje na ambonę, i tych wszystkich, których oskarżył przede mną, publicznie przeprasza. To tak podziało na nich, że wnet po nabożeństwie przyszli na probostwo, i ze skrucną ks. Barzyńskiego przeprosili. Odtąd już pozostali najwierniejszymi jego parafianami.

XI Bandera.

Osiadłość polska w Banderze. była najniebezpieczniejszym miejscem z powodu napadów Indian. Kiedy wypadło mi tam jechać, musiałem brać ze sobą do towarzystwa, jeżeli nie kilku, to przynajmniej jednego Polaka. Jechaliśmy zwykle wielkim wozem, uzbrojeni we wszelaką broń, zwłaszcza w karabiny. Dwie noce trzeba było obozować w lesie, i wszystkie zapasy żywności mieć ze sobą. Kiedyśmy w takim zagrożonym miejscu nocowali, konie przywiązywaliśmy na długich linach do drzew, by się pasły, a sami z bronią kładliśmy się pod wóz na spoczynek. Ognia nie rozniecaliśmy wcale, by siebie nie zdradzać. Za zbliżeniem się Indian konie zwykle niespokojnie parskały i rwały się do ucieczki; tym sposobem budziły nas. Otóż pewnego razu, po północy, posłyszeliśmy parskanie koni, a następnie z dala jakiś łomot wśród drzew. Wtedy, dla uniknięcia niebezpiecznej walki, poczęliśmy strzelać w stronę zagrożoną, i wnet wszystko ucichło. - Na huk strzałów Indianie zawsze uciekają, gdyż broni palnej nie posiadają wcale, a strzelają tylko z łuków.

Tym razem jedziemy spokojnie i w pięknej okolicy zatrzymujemy się na noc. - Cudowny tu krajobraz! Z jednej i z drugiej strony drogi pną się góry niższe i wyższe, a wszystkie strojne bujną roślinnością. Po tych górach gęsto ścieli się centuria, tam wyżej wspaniałe wysmukłe lilie, a tak wielkie, jakich nigdzie w Europie nie widziałem. Przeróżne kaktusy, olbrzymie oleandry, zdobne w różno-kolorowane kwiaty, miłym balsamem napelniają powietrze. Wśród gór bystro płynie strumyk.

Po spożyciu małej wieczerzy poszedłem nieco dalej od naszego obozu, i siadłem na skale. Księżyc świecił w pełni, wokoło cisza... , cała przyroda spoczywa, tylko u stóp mych strumyk wciąż mruży, coś szepce sam z sobą, i tak chyżo bieży, jakby spłoszony uciekał przed .mym wzrokiem. Nad nim olbrzymia skała, jakby tkliwa piastunka, chroni go od południowych upałów, on zaś, jakoby wdzięczny sierota, całuje pokornie jej stopy.

Tak podziwiając tę piękną przyrodę, myślą zwróciłem się do pustelników, anachoretów, do sławnej Tebajdy egipskiej, skąd źródło naszej ascetycznej teologii. Oni również. musieli kryć się przed ludźmi, mieszkać w spokojnych ustroniach, wśród skał i cierni, by nam pokazać, jakim sposobem natura nasza, obfita w dzikie zarośla rozmaitych chwastów, przychodzi do ich oczyszczenia, i wydania pięknego owocu ziarna Słowa Bożego. Ich praca około pozbycia się wad ludzkich, a przyswojenia sobie cnót najszlachetniejszych zrodziła w nich szczęśliwą różę cudownej mistyki, co tylu świętych wydała. Życie ich było podobne do tych niektórych tu / kwiatków, rozkwitających wonno w czasie spokojnej nocy, gdy cała przyroda w uśpieniu, a otwierających swoje kielichy, by napawać się rosą, świeżego powietrza. O, jakże one w nocy spokojne! Ani słońce pali, ani gad po nich nie pełza, wszystko gdzieś skryte w uśpieniu.

O, Wy starzy pustelnicy, żywe kościoły Ducha Świętego! Na puszczy wy jesteście mniej znani światu niż wasze „kamienne sąsiady”, świątynie pogańskie Luksoru, Tebów,

Baalbeku! O piramidach, ponad którymi oko wasze patrzyło w Niebo, każde dziecko umie wiele opowiadać, jako o jednym z cudów świata, ale o was, którzy jesteście żywym cudem świata, odnowionego przez Odkupienie, nikt nie opowiada! Wy bardziej w zapomnieniu u świata zakopani jesteście, niż hieroglify w piasku waszej ojczyzny; a jednak klucz, który otwiera wzniosłe tajemnice waszego pustelniczego życia, nie jest zagubiony!

Tak rozmyślałem nad brzegiem strumyka, a z poza drzew spokojnie wysunął się księżyc, jakby chciał poświadczyć owe dzieje pustelników, na które sam kiedyś patrzył swymi promieniami. Spokojne i piękne „Hosanna” śpiewa serce moje, i dziwnym tęsknym spokojem napęlnia duszę.

O, biedni my ludzie, że tak ślepo gonimy za wszystkim, co wielkie a zmysłom powabne! Biedne serce rozdrobione na tysiączne części życia zmysłowego, porwane siłą samolubstwa swego, rozbija się o skały swej pychy, i nienasycone ginie w odmętach brudnej pożądlivosti!

Nad rankiem, ledwo świtać zaczęło, rozlega się w powietrzu śpiew rozmaitych ptaszków. Jest ich tam moc niemała. Najwięcej widziałem ptaszęta z czerwonym upierzeniem, „kardynałkami” zwane, nieco większe od naszych wróbla, a pięknie śpiewające. - W Teksas jest także zabawny ptaszek, „przedrzeźniaczem” zwany. Siedzi zwykle cicho na wysokim drzewie i przysłuchuje się rozmaitym dźwiękom; potem! je powtarza, a właściwie przedrzeźnia. Imituje ludzi, ptaszki, zwierzęta. Nie jest ładny, bo szary, podobny do wróbla.

Są też i kolibry różnego gatunku. Zwykle latają nisko koło polnych kwiatków, karmiąc się ich sokami. Złowić je można tylko w locie, zarzuceniem siatki. Trzeba je jednak puścić na wolność, gdyż oswoić się nie dają i pokarmów żadnych nie przyjmują.

Po spożyciu śniadania udaliśmy się w dalszą drogę i około godz. 11. przed południem stanęliśmy w Banderze.

Jest to miasto, liczące 2 tysiące mieszkańców, przeważnie angielskich Amerykanów: Rodzin polskich jest 30 z górą. Miasteczko zbudowane na gruncie kamiennym pomiędzy zarosłymi lasem górą. Powietrze tam zawsze świeże, chłodniejsze niż w „Pannie Maryi”. Na wzniosłej górze stoi kościółek polski, a obok niego domek ks. proboszcza. Paręset kroków niżej, na dole, płynie przezroczysta rzeka, Medyna, wśród drzew orzechowych. Polacy zajmują się tu po większej części rolą i wyrobem cedrowych gontów na dachy. Z gór wytryskują źródła, tworzące małe strumyki, które odwilżają doliny. Tam nieraz można spotkać chłodzącego się niedźwiedzia, sarnę i inne zwierzęta.

W górach, niedaleko Bandery, ukrywają się Indianie. Mieszkańcy tamtejsi zwykle nie wychodzą nocą poza obręb swoich zagród z obawy przed ich napadem. Gdy Indianie którego z białych dopadną, skalpują mu głowę, to jest, zdzierają skórę z włosami, i tak ciężko zranionego puszczają dla postrachu innych. Tym sposobem zginął jeden chłopiec Polak. Proboszczem parafii polskiej był ks. Śnigurski, emigrant z Królestwa.

Pewnej nocy napadli oni na dom jego i zaczęli z łuków strzałami doń strzelać. Ksiądz, którego brzęk wybitych szyb zbudził, począł strzelać z karabinu. Na dziedzińcu rozległ się krzyk, i strzały znowu wpadły do pokoju. Po chwili wszystko ucichło, gdyż rozległy się strzały skądinąd w powietrzu. To parafianie polscy przybiegli z bronią na pomoc. Indianie uciekli. Widoczna któryś z nich był raniony, a może i zabity, gdyż znaczne były ślady krwi. Rannych z sobą zabrali. Na probostwie wszystkie okna wraz z ramami powybijane; w ścianach, w drzwiach tkwiły strzały.

Biedny ksiądz przez cały tydzień nie odprawiał Mszy św. z obawy, iż może którego zabił, przeto wpadłby w cenzurę kościelną. Dopiero, gdy od Biskupa otrzymał uwolnienie od cenzury, przystąpił do ołtarza.

W każdym razie grzechu w tern nie miał, strzelał bowiem w obronie życia swojego.

Po skończonej misji udaliśmy się z powrotem do S. Antonio, skąd do „Panny Maryi” musiałem sam wracać, gdyż p. Barzyński .został u swojego syna w San Antonio.

Wyjechałem rano; na południe stanąłem na popas; rozpałem ogień, przy nim zgotowałem obiad, po czym jechałem dalej aż do nocy. W miarę ubywania światła dziennego, coraz więcej zanikała we mnie odwaga, i jakiś lęk przemawiał do wyobraźni. Postanowiłem przeto obrać sobie nocleg w gęstym lesie, aby nie być spostrzeżonym przez włóczących się złoczyńców.

Staję więc w zarosłej dębinie nad ciemnym, głębokim parowem. Konie przywiązałem, jak zwykle, na długich powrozach do dębów i, nie robiąc żadnego ognia, rozścieliłem burnus na trawie i położyłem się do snu. Zaledwom usnął, aż oto we śnie słyszę nad sobą jakieś wrzaski, świsty, niby szczekania lub coś podobnego. Zrywam się i wołam po angielsku: „Kto tam?” Ale wkrótce poznaję sam przyczynę tego hałasu. Pozłatywały do tego ustronia sowy, puszczyki, puchacze, i taki wrzask nade mną i wkoło mnie zrobiły. Po chwili rozległy się wycia szakali. „Ot, historia”, pomyślałem. Czym prędzej tedy biegnę do wozu, i stamtąd, jakby w cytadeli, z rewolwerem w rękę, czekam dalszych następstw. Za moim poruszeniem sowy jeszcze większy wszczęły hałas, a słyszę, jak szakale bliżej podchodzą. Już bym był strzelił, gdyby nie ta uwaga, że muszę oszczędzać naboje w razie napadu zbójów, których w Teksas prawie wszędzie napotkać można. Chcę już wyleźć na jaki gęsty dąb i skryć się w gałęziach jego od grożącego mi niebezpieczeństwa, ale sępy mogłyby tam jeszcze łatwiej mnie napastować. Musiałem tedy siedzieć na miejscu i słuchać dalej tej muzyki. Trzeba więc było coś innego obmyśleć; odłożyłem przeto rewolwer na bok, a biorę do rąk różaniec i poczynam modlić się do Matki Najświętszej. Nic nie pomaga; sowy wciąż huczą i huczą. Wtem usłyszałem jakiś szelest, - patrzę - a oto w moim pobliżu plądruje mnóstwo szakali. Nie namyślając się już dłużej wziąłem znowu rewolwer i strzeliłem, raniąc z nich jednego. To poskutkowało: wszystkie strachy uciekły, zraniony szakal począł żałośnie skomleć, i chociaż kulawy, pobiegł również w głąb lasu, ginąc w zaroślach.

Z wozu jednak nie zszedłem, pozostałem już w nim do rana, po czym zaprząłem konie i pojechałem dalej. W południe stanąłem w „Pannie Maryi”.

XII

Martyniec, czyli „Święta Jadwiga”.

W Teksas mieliśmy kilka misji polskich, a w każdej był kościół polski. W Martyńcu kościół został zbudowany za staraniem O. Zwiardowskiego. Osada ta jest oddalona o cały dzień drogi od "Panny Maryi". Jedzie się tam przez gęste zarośle, wśród ciemnych lasów, po wąskich ścieżkach, utartych przez bydło. Miejscami i takie ścieżki się gubią, przeto z kompasem w rękę trzeba torować sobie drogę. Zwykle odbywałem tę podróż konno.

Od czasu trwania misji polskiej w Teksas (lat 16) umarło tam dwóch kapłanów. Pierwszy, ks. Julian Przesiecki, spadł w największym pędzie z konia i zabił się na miejscu, w roku 1863. Drugi, ks. Teofil Bralewski, eks-benedyktyn, skończył też nagłą śmiercią. Obydwaj byli proboszczami tej samej parafii, to jest Martyńca, dziś nazwanego „Świętą Jadwigą”. Ks. Bralewski umarł już podczas mojego pobytu. Przyjechał on do Teksas z listem polecającym od naszego Ojca Generała Semeneki. Przyjąłem go więc życzliwie, mimo opozycji ze strony władzy diecezjalnej. Pracował w swojej parafii wzorowo przez pięć miesięcy. Żył jak pustelnik, odosobniony od świata; chętnie jednak służył ludziom w potrzebach ich dusz. Najbardziej pracował w szkole, ucząc dzieci. Przeszłość jego, urozmaicona długim cierpieniem tułactwa i biedy, wpłynęła na jego charakter, smutny i melancholijny.

W czasie, gdy z ambony wygłaszał kazanie, nagle tak zasłabł, że ludzie zanieśli go nieprzytomnego do mieszkania. Odzyskał przytomność, ale stan jego zdrowia był groźny; przeto jeden z jego parafian pospieszył pędem na koniu do San Antonio, oddalonego o

piętnaście kilometrów, po Ojca Barzyńskiego, by ten udzielił mu ostatnich Sakramentów. Trafił na chwilę, gdy ksiądz tylko co wyszedł ze Mszą świętą. Podszedł tedy do ołtarza i oznajmił, co zaszło. O. Barzyński przerwał „Mszę św.,” gdyż było to jeszcze przed Ofiarowaniem, opowiedział ludowi, zgromadzonemu w kościele, przyczynę przerwania Ofiary świętej, i wnet konno pojechał do chorego. Został go jeszcze przy życiu, ale zaledwo udzielił mu ostatnich Sakramentów świętych, chory wnet skonał. Potem go pochował, żegnając go rzewną mową nad grobem.

Po zwiedzeniu tej misji wracałem do „Panny Maryi” w towarzystwie kilku osób. O. Zwiardowski z innymi jechał wozem, ja zaś na swoim koniku. Kiedyśmy już zbliżali się do miejsca naszego popasu, spostrzegliśmy ogromną sowę na drzewie. Ojciec Zwiardowski kazał tedy zatrzymać konie, i z wozu chciał do niej strzelać. Prosiłem go, by się wstrzymał na chwilę, nim ucieknę ze swoim konikiem, bo ten, płochliwy, bał się strzałów. Puszczam więc cugle wolno, koń mój pojął wnet, o co chodzi i od razu zawinął z kopyta. Ledwom odjechał paręset kroków, z dala, na środku drogi, spostrzegam jakiegoś dziwnego węża. Stoi wyprężony ze świecącymi rogami. Zrazu sądziłem, że jakieś widmo, - podobnych bowiem wężów nigdy nie widziałem, ani też słyszałem o wężach z rogami. Mój koń tak był rozjuszony, że zdawało się jakoby go nie spostrzegał; pędził wciąż dalej. Skręcam więc na bok, wydaję rewolwer, i umocowawszy się dobrze na siodle, zmierzam z tyłu, poza siebie, do węża i strzelam. Nie miałem już czasu patrzeć, co się z nim stało, koń mój wspiał się do góry, potem jak szalony biegł dalej. Ledwo po kilku minutach tej gonitwy zdołałem go uspokoić i powstrzymać. Wracam na to samo miejsce i widzę, że tym razem zręcznie strzeliłem: wąż, przesyty kulą, ledwo pełzał po drodze. A gdy towarzysze moi nadjechali, dobiliśmy go kijami. Był to niezwykle okaz. Miał więcej niż 8 stóp długości, grubości zwykłej ludzkiej ręki, w pysku ostre kły, pod nimi jad ukryty. Rogi były na palec długie, miękkie, połyskujące, niekiedy kryjące się jak u ślimaka.

Nie była to jeszcze ostatnia przygoda. Oto na parę kilometrów przed „Panną Maryą”, kiedym daleko naprzód odjechał od swoich, widzę opodal drogi pod drzewem jakieś zwierzę. Przypatruję się lepiej i poznaję, że to pantera. Śmiertelnie przestraszony nie wiedziałem na razie, co począć, bo zwierzę to, gdy zobaczy człowieka, zawsze się nań rzuca, a tak szybko biegnie, że i na koniu trudno uciec. Spostrzegam, że już wstaje i powoli skrada się ku mnie. Ściskam konia ostrogami i dalejże w cwał drogą do „Panny Maryi”. Oglądam się poza siebie i widzę, że pantera już, już blisko; wtedy raz po raz strzeliłem trzy razy - koń po tych strzałach jeszcze bardziej biec począł. Nie wiem, czym ją drasnął kulą, czy tylko przestraszył, dość, że pantera zatrzymała się, i, po chwili, uciekła. Niedaleko „Panny Maryi” wstrzymałem konia, i wieczorem spokojnie stanąłem przed domem. W pół godziny potem przyjechali moi towarzysze na wozie i mówili, że pantery już nie widzieli.

XIII Strachy i burze.

Kiedyśmy w „Pannie Maryi” wprowadzili się do nowego domu, mieliśmy tam jakieś dziwne, niewytłumaczone zjawiska: coś nas straszło.

Słyszeliśmy wszyscy, jak podczas nocy w naszych pokojach powtarzały się gwałtowne uderzenia o podłogę, trzask, jak gdyby coś się obaliło, stłukło, gdy wszystko pozostawało nienaruszone na swoim miejscu. Gwałtowne otwieranie drzwi, wyraźne stąpanie po podłodze pokoju, a nigdy nie mogliśmy nikogo widzieć. W końcu tak już z tym oswoiliśmy się, żeśmy sobie z tego nic nie robili, a po obudzeniu się, spaliśmy dalej.

Najczęściej budził nas wszystkich silny stuk, pochodzący jakoby od uderzenia grubym

polanem o podłogę. Myśmy mieszkali na piętrze, a pod nami była szkoła, zawsze na noc szczelnie zamknięta. Nasze pokoje przedzielał korytarz. Pewnego razu, gdyśmy odprawiali sześciodniowe misje, zjechali się na nie wszyscy polscy księża z okolicy. Było nas wtedy dziesięciu wszystkich razem. W największym pokoju spało nas trzech. Po północy budzi mnie jakiś niezwykły trzask, a po chwili usłyszałem stąpanie w pokoju. Zrazu myślałem, że to który z naszych. Noc była jasna, księżyc w pełni; łatwo więc wszystko mogłem rozpoznać. Podnoszę się, siadam na łóżku, i wzrokiem śledzę tętent stąpania, nic jednak widzieć nie mogłem. Wreszcie, zdziwiony, zawołałem głośno: „A to rzecz dziwna!” i zaraz odezwali się dwaj inni Ojcowie, którzy także wszystko to słyszeli, lecz żaden nie chciał budzić drugich.

Były też strachy innego rodzaju, ale bardzo komicznej natury. Jednej nocy posłyszeliśmy stuk i łomot w szkole pod nami. Obudziliśmy się wszyscy, i wnet poszliśmy, aby się przekonać o przyczynie tego hałasu. Sądząc, że może zakradli się jacy rabusie, uzbroiliśmy się w rewolwery i nie zapalaliśmy światła. Noc była ciemna. Pojedynczo, z cicha, jeden za drugim, zstępowaliśmy na dół. Co chwila zatrzymywaliśmy się, przysłuchując się szmerom. Słyszymy wyraźny łomot, stukanie, jak gdyby tam była wielka ilość ludzi. W końcu, gdyśmy już stanęli w progu szkolnego korytarza, odezwałem się głośno: „Ktokolwiek tu jest, niech się odezwie, gdyż będziemy strzelać!” W odpowiedzi na to ktoś, niedaleko mnie, parsknął i tupnął nogą.

Zrozumiałem teraz, że to nie złodzieje. Zapaliłem światełko i widzę naprzeciwko siebie ogromnego capa zmierzającego ku mnie. I co się pokazało? Oto z wieczora zapomnieliśmy zamknąć szkołę, uciekając przed burzą, a capy, kozły i barany rozlokowały się w niej. Skończyły się te strachy na wypędzeniu nieproszonych gości.

W Teksas bywają niekiedy gwałtowne burze i wylewy rzek. Pewnego razu nawiedził nas cyklon. Byłem wtedy w zakrystii i oglądałem ornaty. Wtem poczęło się ściemniać tak, że trudno już było odróżnić przedmioty. Działo się to o godzinie 5. po południu, w czasie skwarne lata. Dla przekonania się, co zaszło, wyszedłem z zakrystii, i widzę niebo, całe pokryte czarnymi chmurami, a gwałtowny szum niezwykłego wiatru pędzi ku nam. Powróciłem znowu do zakrystii, a stamtąd do kościoła i ukląknę przed ołtarzem Najśw. Sakramentu.

Cyklon już się zerwał nad nami. Szum, łomot, trzaskanie okien tak potężne, że zdawało się, iż za lada chwilę cały kościół runie. Kiedy już i dach począł trzeszczeć, otworzyłem tabernakulum i stałem w pogotowiu, by w najgroźniejszej chwili spożyć Najśw. Sakrament i zginąć pod gruzami kościoła. Czekałem tylko ostatnich znaków łamiącego się dachu. Nie widziałem, co się dzieje koło mnie. Przerażający huk piorunów, trzaskanie okien, świst wiatru z piaskiem i połamanymi gałęziami szalał w kościele. Wreszcie, po chwili, wszystko ucichło. Niedługo trwał ten cyklon, kilka minut, ale spustoszenie było tak wielkie, iż ledwo oczom swoim wierzyłem. Nie tylko wszystkie szyby były powybijane, ale i ram nawet nie było. Wicher, przelatując przez kościół z przeciwnej strony, powysadzał okna. Mułu, piasku, gałęzi wszędzie było pełno. Ledwo dostać się mogłem do zakrystii; a drzwi frontowe od kościoła tak były zatarasowane mułem, że nie mogliśmy ich otworzyć. Drzewa powyrywane z korzeniami; domy zniszczone, a dachy ich leżały hen, daleko, w polu, w oddaleniu kilkuset kroków.

Zabawne wtedy stało się zdarzenie. Cyklon porwał jakiegoś dwunastoletniego chłopca, uniósł go w powietrzu przez las i rzekę aż na drugą jej stronę, i tam, w polu, porzucił go bez żadnego szwanku na ziemię. Chłopak opowiadał nam potem o tej swojej powietrznej jeździe. A jakąś kobietę, która jechała na wozie, sama popędzając konie, wicher porwał wraz z wozem i końmi; ale pomimo pędzenia wozu w bok na coraz gorsze bezdroża, nic jej w końcu złego się nie stało; zajęchała szczęśliwie do domu.

Innym razem to powódź zniszczyła cały plon urodzajów. „Panna Maria” leży bowiem między dwiema rzekami, które naraz wystąpiły z brzegów, zagarniając ogromną przestrzeń zasianych gruntów. Wszystkie zbiory przepadły w jednej chwili. Oprócz tego wiele domów i zagród gospodarczych zostało zniszczonych. Przykro było patrzeć, jak całe stada owiec w naszych oczach ginęły w wezbranych nurtach wody, a nie było możliwości ocalenia ich. Spieszyłem wówczas na pomoc konno na moim „Biliku”, lecz brnęliśmy w rozszalałych falach, tak iż ledwośmy sami ocaleli.

XIV Walka z Amerykanami.

Kiedyśmy przybyli do Teksas, było to wkrótce po wojnie, jaką prowadziły północne stany Ameryki z południowymi. Jak wiadomo, południowcy przegrali. W Teksasie nie wszędzie jeszcze zaprowadzono porządek i administrację.

Wskutek przegranej, potworzyły się tu różnorodne stronnictwa w duchu rewolucyjnym, wśród których banda zbankrutowanych ludzi była zawsze, z bronią w rękę, gotowa do rozmaitych awantur. Po zwycięstwie północnych i uwolnieniu murzynów, południowcy popadli w bankructwo. Żyjąc z dnia na dzień w próżniactwie, hajdamackie prowadzili życie. 'Wiedzieli oni dobrze, że my, Polacy, trzymaliśmy stronę północnych, dlatego mieli nas za wrogów. Rząd północny nie był jeszcze w możności dostarczenia wszędzie odpowiedniej liczby swoich urzędników; ster przeto rządu w wielu miejscach, jak i w „Pannie Maryi”, znajdował się w rękach południowców. „Panna Maria” zupełnie zależna była od łaski sędziów południowych, wrogo dla nas usposobionych. Polak, pokrzywdzony przez Amerykanina, nie doznawał nigdy sprawiedliwości. Na domiar złego, jedyny Niemiec w „Pannie Maryi” był polskim sędzią. Schlebiał on Amerykanom, gdyż od nich właśnie uzyskał ów urząd. Działy się z tej przyczyny rzeczy bardzo przykre. Pocziwych, spokojnych Polaków jątrzył, poróżniał plotkami, potwarzami, a potem namawiał ich do skarg sądowych i... oczywiście do siebie. Spraw takich nigdy ostatecznie nie załatwiał, lecz, po zapłaceniu kosztów procesu, przekazywał je potem sądowi wyższemu, do miasta powiatowego „Helena”, gdzie naszych bez miłosierdzia obdzierano. I nie było na to rady, musieliśmy tak cierpieć aż do pewnego czasu.

Gdy n. p. jakieś napady awanturnicze kończyły się zabójstwem i śmiercią napadniętego, a zabójcą był Amerykanin, to żandarm (tam „szeryfem” zwany) nigdy winnego znaleźć nie mógł, choć ten wśród nich się ukrywał. Biada zaś Polakowi, jeżeliby śmiał w czymkolwiek skrzywdzić Amerykanina! Śmierć od kuli rewolwerowej groziła mu niechybnie.

Poza tym utworzyła się jeszcze banda rozbójników, których nie podobna było ścigać, bo wszyscy oni solidaryzowali się z sobą. Trzeba było wszędzie mieć się na baczności i chodzić zbrojno.

Nieraz tak bywało, że kilku opryszków wpadło na koniach do „Panny Maryi”. Wszczykali hałas i strzelali do bezbronnych. W końcu odwołaliśmy się do gubernatora, który był z północnych Stanów, z prośbą, by temu zapobiegł. Po niedługim czasie przyjechał sam do „Panny Maryi”. Był u mnie, o wszystko się wypytywał, i wydał rozporządzenie, abym uzbroił Polaków, i kazał strzelać do napadających, zanim wojsko przybędzie. Następnie z kilku swoimi ludźmi pojechał do naszego powiatowego miasta „Helena”, tam zwołał wszystkich przed ratusz, gdzie z balkonu zgromił ich za takie postępowanie z Polakami, i oznajmił, jakie mi dał rozporządzenie. Potem jeszcze raz był u mnie, zlecenie swoje powtórzył, dodając, bym w danym razie zadzwonił na alarm w dzwon kościelny.

Zaraz też po jego odjeździe zwołałem. moich ludzi, i uzbroiliśmy około stu kawalerzystów. Dla zaimponowania naszym wrogom, pewnego dnia kazałem wszystkim się uzbroić i na oznaczoną godzinę stawić się konno przy kościele. Kiedy już wszyscy przybyli, wyprowadziłem też i mojego „Bilika”, osiodłałem go, i wraz z nimi stanąłem do wymarszu. „Pojedziemy”, rzekłem do nich, „w szyku żołnierskim do „Heleny”. Przez pola będziemy jechali zwykłym kłusem, a w mieście, przez cały środek rynku, aż na drugi koniec miasta galopem; ja pojedę na czele. Chociażby były jakie strzały ku nam zmierzone, to bez mojej komendy nie wolno nikomu strzelać”.

I tak wszyscy na koniach wyruszyliśmy do „Heleny”.

Po drodze nie spotkaliśmy nikogo. Przed samem miastem zatrzymaliśmy się chwilę, po czym krzyknąłem: „Za mną!” i cwałem wpadliśmy do miasta.

Zdumieni się Amerykanie, gdyśmy galopem pędzili przez środek miasta, zatrzymując się dopiero w polu. Po krótkim wypoczynku znowu tak samo galopowaliśmy z powrotem... Nikt nas wtedy nie zaczepił, i odtąd mieliśmy, choć na krótko, spokój.

Kiedy jednakże, po pewnym przeciągu czasu, dzwoniłem wieczorem. na Anioł Pański, postyszałem krzyk i huk strzałów tuż koło kościoła. Wybiegłem... i oto widzę, jak kilku Amerykanów pędzi konno przed kościół i strzela do sygnaturki. Sądziłem zapewne, że dzwoniłem na alarm. Biegnę więc czym prędzej do domu po rewolwer, a tu mi jeden z nich zabiega drogę i strzela. Ja wtedy chwytam za drąg, leżący tuż obok mnie, i zamierzam się, aby go uderzyć w głowę. Nie wiadomo, jaki mógłby być koniec, gdyż w tej chwili nadbiegło kilku moich jeźdźców, którzy spłoszyli. napastników, pędząc ich przed sobą. Uciekając, zranili ,oni jednego z naszych i jakąś naszą parafiankę, szczęściem, nie groźnie. Młodzieńcy moi ścigali ich w kierunku miasta „Heleny”. Pomiędzy tym miastem a „Panną Marią” płynie rzeka Cebula; tu rozpoczęła się bitwa. Oni z końmi rzucili się wpław, moi zaś strzelali z brzegu. Tamtym, widoczna, zabrakło amunicji, gdyż już nie. strzelali. Dwóch spadło z koni i zginęło w nurtach rzeki, dwóch zaś innych na drugim brzegu już bez koni znikło w nocnych pomrokach. Tym sposobem mieliśmy znowu spokój na jakiś czas. Ale po kilku miesiącach walka się powtórzyła. Wówczas Amerykanie obmyślili porę napadu dla nas najniekorzystniejszą: 'wpadli mianowicie do naszej osady podczas nabożeństwa w kościele. Czekali jednak końca, aż z kościoła wyjdziemy.

Po skończonym nabożeństwie wezwałem wszystkich mężczyzn na probostwo, a kobiety i dzieci zamknąłem w kościele. W zakrystii pozostał na straży O. Zwiardowski z karabinem w ręku. Na probostwie samem mieliśmy dwa karabiny, dwie dubeltówki i cztery rewolwery. Przy tym dom był murowany, piętrowy, mogliśmy się więc łatwo stamtąd bronić. Kiedy już wszyscy byli na plebanii, wybrałem kilku odważniejszych, rozdałem im broń, i na frontowym balkonie oczekiwaliśmy bitwy. Widok przedstawiał się nam taki: z dala, po jednej stronie, naprzeciwko nas szykują się Amerykanie na koniach z rewolwerami, gotowi do ataku; z boku stoi jakie dziesięć kolasek rzędem, w których siedzą Amerykanki, t. j. ich żony i córki, oczekując bitwy. Wziąłem tedy karabin do ręki i rozglądałem się w sytuacji. Amerykanie rozpoczynają ku nam biec na koniach, grożąc rewolwerami i, wrzeszcząc, że nas wymordują. Wtedy zmierzam ku nim z karabinu i wołam: „Stać! Gdyż w przeciwnym razie na pewno będę strzelał!” Amerykanki poczęły przeraźliwie krzyczeć, a tamci się zatrzymali. Przestrzeń zupełnie była wystarczająca na' kulę karabinową, ale na rewolwer za daleka. Nawoływania wzajemne „Strzelajcie!” powtarzały się na przemian. W końcu. przyszła mi myśl taka: Tam w powozach przypatrują się zapewne ich żony i córki, chcąc z ciekawości przyglądać się bitwie; zwrócę tedy walkę w ich stronę, a rychło skończy się wszystko. Zwracam się więc w tę stronę, i ponad ich głowami strzelam raz i drugi... Powstała ogromna panika, wszyscy razem rzucili się do ucieczki, i plac boju już był wolny. Nastąpił spokój; otworzyłem więc kościół, i wszyscy bez obawy wrócili do swych domów. Wkrótce i moja kawaleria przybyła, ale nieprzyjaciel już się nie zjawił.

Nie podobna było pozostawać dłużej w takich niebezpieczeństwach. Z kolei ludzie poczęli już tracić ducha. Obawiano się ogólnie, że Amerykanie zechcą się mścić z ukrycia, z zasadzek. Trzeba było temu jakoś skuteczniej zaradzić i w tym celu zwołałem wszystkich do siebie na wiec. Tam uradziliśmy, aby jechać do miasta San Antonio, gdzie mieszkał generał, i prosić go o przysłanie nam pomocy. Gdy się kobiety dowiedziały, że kilku z naszych ludzi zostało wydelegowanych w tym celu do San Antonio, oparły się temu, z obawy, by w drodze ich nie zamordowano, i do wyjazdu nie dopuściły. Wskutek tego nie było innej rady, jak tylko, abyśmy we dwójkę z Ojcem Zwiardowskim udali się do San Antonio. Zachowaliśmy jednak w tajemnicy ten plan. Pewnego więc pięknego poranku wyruszyliśmy konno w drogę. Dla zmylenia śladu jechaliśmy rozmaite mi ubocznymi drogami, kryjąc się po lasach. Noc w lesie spędziliśmy spokojnie. Na drugi dzień, około południa, byliśmy już w San Antonio. Tu opowiedzieliśmy O. Barzyńskiemu o celu naszego przyjazdu, i naradzaliśmy się wspólnie, jakby wpłynąć na generała, żeby zadość uczynił naszej prośbie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności tak się przydarzyło, że przyjechał wtedy i Biskup nasz z Galvestonu. Jemu tedy przedstawiliśmy, w jakim położeniu się znajdujemy, i prosiliśmy o orędownictwo. Chętnie tego się podjął, i razem z nami poszedł do generała. Ten przyjął nas w swoim biurze. „Wiem już o wszystkim”, powiedział, „i myślę posłać tam wojsko, ale dopiero za miesiąc”. „Za miesiąc”, odrzekłem, „może już być za późno, gdyż do tego czasu mogą nas wszystkich wymordować”. Generał po chwilowym namyśle zadzwonił na dyżurnego i kazał zawołać kapitana od kawalerii. Gdy ten się zjawił, zapytał go, kiedy by najprędzej mógł wyruszyć ze swoim szwadronem na pomoc do „Panny Maryi”, i opowiedział mu pokrótce o celu naszego przybycia. „Najrychlej za pięć dni mogę już tam jechać”, była jego odpowiedź. Podziękowaliśmy generałowi za tę przysługę, a Biskup kapitana zaraz zaprosił do siebie na obiad. Tu znowu przyrzekł nam, iż na pewno piątego dnia wyruszy do „Panny Maryi”. Po szczęśliwym załatwieniu tej sprawy, z obawy, by tam podczas naszej nieobecności nie było jakiego napadu, jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy na noc z powrotem. Na drugi dzień, bez żadnej przygody, byliśmy już w domu. Opowiedzieliśmy wszystko, cośmy uzyskali, i z niecierpliwością oczekiwaliśmy wojska.

Dowiedzieli się o tym i Amerykanie; śmiali się z nas, kpili, mówiąc, że to nie Europa, by zaraz na pogotowiu przybyło wojsko i grozili nam dalej. Aż oto szóstego dnia rozlega się trąbka kawaleryjska, i ten sam kapitan na czele 150 kawalerzystów stanął przed naszym domem. Wyszedłem naprzeciw, a on mnie wita te mi słowa: „Jestem do dyspozycji Waszej Wielebności!” Po krótkim wypoczynku, odjechał z całym szwadronem 9 dwa kilometry dalej, i w polu pomiędzy „Panną Marią” a miastem powiatowym „Helena” rozbili swoje namioty.

Wkrótce przybyła też i piechota z artylerią; wszyscy razem obozowali tamże pod namiotami. W piechocie był pułkownik z całą swoją rodziną. Zapas prowiantów mieli własny, nic do pożywienia nie wolno im było brać od ludzi miejscowych. Z początku, przez trzy miesiące, stali beczynnie obozem, 9-latego, że, jak mi kapitan mówił, najważniejsi sprawcy zaburzeń puciekali. Czekał więc cierpliwie. Często odwiedzaliśmy się nawzajem, chodziliśmy razem na polowanie, i ja u niego lub on u mnie bywał na obiedzie. Pewnego razu opowiedziałem mu, że w „Pannie Maryi”, w osiadłości czysto polskiej, jest jeden tylko Niemiec, a tego zrobiono naszym sędzią. Żeby choć był sprawiedliwym, to mniejsza z tym, ale gdzie tam! Jątrzy Polaków pomiędzy sobą, by ich potem sądzić, a w końcu oddaje jeszcze do sądu wyższego do "Heleny", by tam dalej ich krzywdzić. Na to on mi odpowiedział: „Sprawa ta należy do sądu cywilnego, nie wolno mi w to się mieszać, ale możemy temu zaradzić innym sposobem. Trzeba, żebyś Ojciec miał z nim teraz jakiś zatarg; ja to wezmę jako sprawę gwałtu, zaburzeń, i wtedy go usunę”.

Niedługo na tę okazję czekałem. Wspomniałem już wyżej, że kościół i grunta kościelne były pod opieką owego Niemca. Mimo wielokrotnych próśb, by mi oddał mapę moich

gruntów, zawsze zbywał mnie obiecankami, a w końcu powiedział, że mapy nie ma. Posądzałem go w tym o jakieś matactwa, gdyż grunta jego graniczyły z moimi; ale gdzie była ta granica, tego dokładnie nie wiedziałem.

Tu dodam, że mapa moja była zatwierdzona pieczęcią i podpisem rządowym. Otóż na tym umyśliłem go schwycić. Kazałem więc budować śpichlerz na jego gruncie tuż obok mojego.

Kiedy on to zobaczył, przyszedł sam do robotników i kazał roboty zaprzestać. Ja zaś kazałem budować dalej. Przysłał P9tem do mnie swoją córkę z zawiadomieniem, że grunt ten jest jego, i prosił, bym robotę cofnął. Odpowiedziałem, iż o tym nic nie wiem, i roboty cofać nie myślę.

Następnie przysłał żandarma (szeryfa) ze stanowczym poleceniem zaprzestania budowy, gdyż inaczej groził postawieniem mnie przed sąd przysięgłych za nieposłuszeństwo, i skazaniem na odszkodowanie. Temu również odpowiedziałem, iż o tym nic nie wiem, by to był grunt jego, i że będę budował dalej. lato pewnego dnia zjawia się u mnie ten sam szeryf, wręczając mi jakieś pismo. Po przeczytaniu go odezwałem się: „Więc pan mnie aresztujesz i odprowadzisz do sądu!” „Tak!” odpowiedział. „Ja pójdę sam”, odrzekłem, „a panu radzę iść z dala lub naprzód, gdyż mogłoby powstać zaburzenie i przybrać groźne rozmiary”. Uznał uwagę za słuszną, i odszedł.

W sali sądowej czekał na mnie ów Niemiec, jako sędzia, a z nim sześciu przysięgłych. Oskarżając mnie, opowiedział im wszystko szczegółowo, jak mnie przestrzegał, upominał, w końcu, jako nieposłusznego poddaje orzeczeniu przysięgłych. Przysięgli jednoznacznie i jednogłośnie, bez wysłuchania moich tłumaczeń, zatwierdzili moją winę. Wtem spostrzegłem na stole przed nim rozłożoną mapę, z napisem u góry: „Własność kościoła”. Wtedy odezwałem się do nich w te słowa: „Moi panowie! Nie jestem aż do tego stopnia ograniczony, abym z całą świadomością na obcym gruncie samowolnie cośkolwiek budował. Byłem pewny, że ten grunt jest' moją własnością. Po kilka razy prosiłem p. sędziego, by oddał mi moją mapę, którą przechowywał, zawsze jednak zwlekał z oddaniem jej aż w końcu powiedział, że jej nie ma. Teraz oto ja widzę, i już wiem, gdzie jest granica gruntu, każę przeto wszystko uprzątnąć”.

Na to on: „Ja pana przestrzegałem, trzeba było mi wierzyć, teraz już za późno”. Po takim jego orzeczeniu odrzekłem: „Kiedy tak - to rozmówimy się gdzie indziej!” I chciałem opuścić salę. On zaś zawezwał szeryfa, by mnie odprowadził do więzienia. „Nie odważaj się pan!” rzekłem do szeryfa, „widzisz (tu wskazałem przez okno) moich ludzi, każdej chwili położenie może się stać niebezpiecznym dla nas!” Wtedy szeryf puścił mnie. Zaledwom tylko wyszedł z sali, kazałem sobie przyprowadzić „Bilika” i cwałem popędziłem do kapitana. Zastąpiłem go w namiocie, w którym przygotowywano do obiadu. Nie wysłuchał jeszcze do końca mojego opowiadania, kiedy zawezwał żołnierza, by mu co prędzej przyprowadził konia, i bezzwłocznie wraz ze mną popędził do „Panny Maryi”. Po drodze opowiadałem mu dalej o całym zajściu. Wnet stanęliśmy przed budynkiem sądowym. W tej właśnie chwili wszyscy przysięgli wychodzili. Kapitan zatrzymał konia tuż przed samym sędzią, i zapytuje go, skąd by wychodził? Inni tymczasem chyłkiem zniknęli poza węgłami domu. Sędzia stał przestraszony przed kapitanem i opowiadał, co zaszło. Rozgniewany kapitan przerwał mu mowę, i kazał sobie podać papiery, które on trzymał w ręku, spojrzał na mapę, na napis „Własność kościoła” – „Jak to?” zawołał, „własność kościoła trzymasz u siebie” I zaraz ją mnie wręczył. A kiedy sędzia chciał się tłumaczyć, przerwał mu zapytaniem jakiego jest wyznania? „Rzymsko-katolickiego”, odrzekł. Wtedy kapitan podniósł głos i począł go gromić za takie obchodzenie się z swoim proboszczem; a w końcu dodał: „Sędzią już nie jesteś, idź do domu i przygotuj wszystko do oddania swojego urzędu!”

Potem zawrócił konia, i pojechaliśmy na probostwo.

Tu polecił mi, bym czym prędzej przedstawił na sędziego jakiegoś Polaka. Miałem już

takiego na pogotowiu, i nazwisko jego podałem. Wkrótce pojechał do swojego obozu, a w kilka godzin później przybył porucznik, odebrał urządowanie od owego Niemca, i zamianował sędzią Polaka, który na tym urzędzie pozostał do końca.

Wreszcie, po trzymiesięcznej pauzie, kapitan zabrał się do przeznaczonego sobie zaprowadzenia porządku. Rozpoczął od sędziów i szeryfów. Wielu z nich pod eskortą odesłał do San Antonio. Bandytów i rozbójników ścigał wojskiem, a do opornych kazał strzelać. I tak po 8 miesiącach jego pobytu wśród nas nastąpił spokój, i odtąd byliśmy już wolni od wszelkich napadów i zasadzek.

XV Odjazd z Teksasu.

Tak przeszły mi cztery lata walki wśród różnorodnych niebezpieczeństw z pomyślnym w końcu rezultatem na wszystkich trudnych drogach pracy naszej w Teksas.

Dziwne zrządenia Opatrzności Bożej! Cztery lata temu, gdym w Rzymie pracowałem nad dogmatyką w celu otrzymania stopnia doktora, przerabiając całą teologię od deski do deski, karmiłem się nadzieją, że wkrótce myśl moja będzie uwieńczona szczęśliwym wynikiem, jakiego od dawna pragnąłem. Ale za ledwo błysnęły przede mną pierwsze promienie wiedzy, naraz zmieniło się wszystko; kazano mi jechać do kraju, o którym nigdy przedtem ani pomyślałem, i to tak prędko, że ledwo wyrzec mogłem: „Bądź zdrow, kochany Rzymie! Kiedyż cię ujrzę znowu?” Dzisiaj ta sama historia, tylko w innym rodzaju. W chwili rozwoju mojej misjonarskiej pracy, kiedy poczynam, chociaż jeszcze nie zbierać, ale już patrzeć na kwiaty i kwiateczki, zakwitłe na roli mej pracy; kiedy na widok tych pierwiosnek cieszę się pięknym zbiorem złotych kłosów moich, aż wtem znowu niespodzianka, i znowu mam wszystko opuścić, jechać do Rzymu i tam pozostać jako magister nowicjuszy. Kiedy się zastanawiam nad tym wobec Pana Jezusa, tym mocniej czuję się do wdzięczności dla Niego za takie poufałe Jego ze mną postępowanie. Tylko posłuszeństwem w miłości pragnę odpowiedzieć; bo tak zaufać i tak próbować może tylko miłość: tylko dwie kochające się dusze. Widzę jasno, że P. Jezus nie chce mnie mieć sługą, a tym mniej najemnikiem, tylko przyjacielem, i to jeszcze najbliższym boku swojego. A więc bez wątpienia „Fiat!” Teksas opuszczam. Ale czemuż taki żal, taki ból ciśnie się do serca na wspomnienie, że mam go opuścić?

Cichym, spokojnym wzrokiem rzucam po niwie prac moich i widzę, jak wszystko już mnie żegna. Smutek miesza się z radością, boleść z poczuciem szczęścia, i jakieś weselnogrobowe grają mi w sercu hymny. Patrząc dalej i dalej, ale łza mroczna zaciemnia mi widok. Z żalu niby wędnie wszystko, traci swój urok, blask... , tylko hen, daleko, skromne niezabudki wdzięcznie patrzą na mnie. Te czym prędzej zrywam, i jako pamiątkę pracy teksaskiej zabieram z sobą.

Jakież to tajemnicze uczucia kryją się w duszach naszych! Ileż ich pięknych, wzniosłych rozbudza tylko samo cierpienie! O, zaprawdę, są w nas ukryte głęboko-cudowne skarby Boże, których dosięgnąć dusza nie ma dość energii; potrzeba na to koniecznie gromu boleści.

Powtarzam: smutno mi było opuszczać Teksas. Trud, praca, walki tak mnie tam przykuły, takim urokiem życia zaświeciły, że chciało się już pozostać na zawsze i umrzeć tam. Ojczyznę mam w duszy, wobec Boga wszędzie jestem Polakiem, wszędzie też dla niej mogę i powinienem pracować. Ta myśl dawała mi siłę, uczucie, nad wszelkie inne silniejsze, i choć z balem, chętnie poddałem się posłuszeństwu. Trzeba jechać, trzeba wszystko i wszystkich pożegnać!

Kiedy się o tym dowiedzieli moi parafianie, stanowczo się temu sprzeciwili. Postawili

nawet wartę przed domem, bym nie wyjechał po kryjomu. Gubernator napisał prośbę do Ojca Jenerała, by mnie jeszcze zostawił, nic to jednak nie pomogło. O. Kajsiewicz odpisał, że przyjechać muszę. W końcu moi poczciwi parafianie widząc, że wszelkie protesty nie pomagają, zgodzili się z losem, od warty swej odstąpili, ale chcieli dla bezpieczeństwa mojego odprowadzić mnie zbrojno aż do samego portu. Prosiłem, aby i tego nie robili, gdyż Opatrzność Boża, co od tyłu uchroniła mnie niebezpieczeństw, z pewnością ochraniać będzie i nadal. Umyśliłem jednak wyjechać w nocy, ukradkiem, by uniknąć napadu, gdyby rzeczywiście był zamierzony. Tak też i wyjechałem z „Panny Maryi” wraz z O. Zwiardowskim, który mnie odprowadzał. Jechaliśmy noc całą; nad ranem w jakimś mieście pożegnał mnie i powrócił do domu; ja zaś nająłem konie i pojechałem dalej. Zdązałem do miasta portowego Victoria, by tam wsiąść na okręt i popłynąć do Nowego Orleanu. Kiedym przybył do portu, dowiedziałem się, że okręt mój odpłynie dopiero za trzy dni. Tęsknota ogarnęła mnie jeszcze większa. Po cóż było się tak spieszyć? Żal i tych paru dni. Wśród obcych ludzi sam jeden, nieznanym nikomu, tak blisko swoich, a już ich widzieć nie mogę! - Wieczorem wyszedłszy na przechadzkę, zaszedłem na cmentarz. Cisza wokoło, jakiś uroczysty nastrój w tonacji dwóch światów pograżył mnie w zadumę. Siadłem na piedestale jakiegoś pomnika i usłyszałem głos w duszy: „Niema nic stałego na świecie; dążymy wszyscy do śmierci; a cała sztuka życia polega na tern, by dobrze umrzeć. W Niebie już nie będzie żadnej rozłąki”. Tą myślą pokrzepiony, z wiarą w sercu, wstałem, i powróciłem na nocleg do mojej oberży.

XVI Chicago.

Nazajutrz byłem już na okręcie, odpływającym do Nowego Orleanu. Tu wsiadłem do wagonu i żelazną koleją jechałem do Chicago.

Piękną miałem podróż wzdłuż rzeki Mississippi. Brzegi jej gubią się gdzieś daleko, ledwo ich okiem dojrzeć. Rozmaite parostatki, jakoby piętrowe domy, pływały po spienionych jej wodach, goniąc się nawzajem. Wszędzie wesołość, radość, zabawa. W ciągu tej podróży, w jednym mieście, zatrzymał się pociąg o godzinie 8. z rana. Konduktorzy oznajmili nam, że dziś niedziela, wobec tego musimy wychodzić z wagonów, iść do kościoła na nabożeństwo, a dopiero o 8. wieczorem pojedziemy dalej. W Ameryce, tak samo jak w Anglii, w niedzielę pociągi nie kursują. Magazyny, sklepy, kawiarnie, restauracje itp. pozamykane. Mieliśmy więc cały dzień zmarnowany; miejscowość jakaś nieznaczną, i nie można było niczym się rozerwać. Tak spędziliśmy czas na ciężkich nudach aż do wieczora. Wreszcie o godzinie ósmej wyruszyliśmy dalej, i po kilku dniach stanęliśmy w Chicago.

Było to 1870 roku, kiedy pomiędzy Francją a Prusami wybuchła wojna. Zawahałem się, czy mam dalej jechać, gdyż okręty francuskie i pruskie były zatrzymane, a innym, już nie wiem dlaczego, jechać Nie chciałem. Postanowiłem więc zatrzymać się w Chicago, i zaraz wysłałem list do O. Kajsiewicza z zapytaniem, co mam czynić dalej. Przedstawiłem się miejscowemu Biskupowi i otrzymałem na jeden miesiąc pozwolenie odprawiania Mszy św. Mieszkałem u jednej polskiej rodziny. W Chicago był już ksiądz polski, mieli też Polacy i kościół swój, tylko plebanii jeszcze nie było; ks. Proboszcz mieszkał w najętym domu. Polaków było tam wówczas 10 tysięcy z górą z różnych dzielnic Polski. Dzisiaj już ich tam liczą na 300 tysięcy.

Przybyłem tu w chwili bardzo smutnej, cała bowiem tutejsza Polonia podniosła bunt przeciwko swojemu księdzu," a nawet kilku zuchwalszych rzuciło się na niego, chcąc go obić. Byłem więc rozjemcą między nimi, i strony pogodziłem. Niedługo to jednak trwało; nietaktowne bowiem postępowanie księdza znowu ludzi rozburzyło. Bo też istotnie nie

odznaczał się on gorliwością pasterza, dbał raczej o grosz, często z krzywdą parafian, jak o tym w końcu sam się przekonałem. Polacy tamtejsi prosili mnie, bym li nich pozostał na razie jako pomocnik Proboszcza. Odmówiłem stanowczo, tłumacząc się tym, że jestem w drodze do Rzymu, a tu zatrzymuję się tylko czasowo. Następnie, by uniknąć wszelkich podejrzeń, a zwłaszcza ze strony księdza, jakobym umyślnie tu przybył, by zająć jego miejsce, uchyliłem się zupełnie od polskiego kościoła, i przenieśliem się na drugi koniec miasta.

Wkrótce otrzymałem list od O. Kajsiewicza, w którym mi donosił, że mogę zatrzymać się w Chicago aż do ukończenia wojny. Polonia tymczasem coraz większych dokładała starań, by mnie zatrzymać w Chicago. Kłótnie pomiędzy parafianami a Proboszczem powtarzały się coraz częściej, aż w końcu przyszło do bardzo smutnych następstw. Pewnej nocy sześciu zamaskowanych ludzi zadzwoniło do jego drzwi, wzywając go rzekomo do chorego; lecz po otworzeniu drzwi rzucili się na niego, obalili na ziemię, okryli szczelnie płachtą, i poczęli bić jakimiś kauczukowymi basałkami, jak on to sam potem twierdził. Wzywali go przy tem, by im dał słowo, że wyjedzie stąd dobrowolnie, a w przeciwnym razie grozili mu śmiercią. Ksiądz pod bolesnymi razami nic nie odpowiadał. Tej samej nocy, kiedy to się stało, byłem z wizytą u pewnego doktora Polaka, który niedawno temu, wraz z całą rodziną, przyjechał z Europy. W ich miałem towarzystwie czas mi przeszedł do późnej bardzo godziny, tak, że musiałem już u nich przenocować. Stało się to opatrnościowo, gdyż, jak się potem okazało, ksiądz posądzał mnie o czynny udział w tym napadzie. Zaraz na drugi dzień po tej smutnej nocy zjawił się z rana około godz. ósmej u tegoż doktora dla skonstatowania swoich ran. Przyznał wtedy sam, że mnie posądzał, i tak mocno twierdził, iż ledwo w końcu uwierzył, że u doktora nocowałem. Były i takie przypuszczenia, że spisek ów był uknuty przeciwko mnie, a najęci wykonawcy omylili się co do osoby, i zamiast mnie, zbili jego.

W każdym razie czyn ten zbrodniczy oburzył nas wszystkich i przemyśliwaliśmy nad tem, jakim by sposobem sprawców jego odkryć. Kiedy ks. Biskup o tem wszystkim się dowiedział, posłał po mnie i zaproponował, żebym na razie misję tę objął i napisał w imieniu jego list do O. Kajsiewicza z prośbą o księży ze Zgromadzenia naszego. Przy tym dał mi zaraz, jako polskiemu proboszczowi, zupełną jurysdykcję rządzenia parafią.

Przykra była moja pozycja. Nie wiedziałem, od czego mam zacząć: czy rozpocząć śledztwo, by winnych oddać pod sąd, czy dać pokój temu i zabrać się do swoich nowych obowiązków.

Po dochodzeniu przekonałem się, że winnych nie znajdę; sprawa była jakaś ciemna, zawila, dwuznaczna, bez żadnych jasnych dowodów. Ludzie twierdzili, że go zbili jacyś ukryci .Masoni, i on sam twierdził, jak podczas bicia namawiali go, by się do nich zapisał.

Musiałem więc tej sprawy zaniechać, wszystko Bogu polecić i zabrać się do obowiązków parafialnych. Przenieśliem się zaraz do polskiej dzielnicy, by zamieszkać bliżej kościoła.

Gdy ów ksiądz, po kilku tygodniach leczenia się, powrócił do zdrowia, wezwał do siebie najślawniejszego adwokata, opowiedział mu całe swoje przejście, wskazał, na kogo ma podejrzenie, i tych kazał aresztować. Podał aż dwunastu, wśród których, jakoby na pewno, miało być owych sześciu. A do sądu miało już należeć skonstatowanie ich tożsamości. Po umówieniu się z adwokatem o wynagrodzenie, połowę zapłacił zaraz, a drugą połowę miał złożyć przy końcu procesu. Rzeczywiście aresztowano wszystkich dwunastu, a dla wywarcia silniejszego wrażenia aresztowanie ich odbyło się po północy. Nic nie pomogły płacze i prośby ich rodzin; wszystkich odprowadzono do więzienia. Ale nazajutrz, po złożeniu kaucji, wszystkich wypuszczono. Sąd każdego z nich odbywał się osobno, ale jeden po drugim wykazywał swoje alibi, twierdząc, że nie mógł na żaden sposób brać udziału w owym pobiciu księdza. Kiedy już tylko kilku ich pozostało do przesłuchania, adwokat zażądał od księdza reszty pieniędzy, a samemu zalecił, aby jak najprędzej uciekał, zanim się proces skończy. Każdy bowiem z nich chciał go potem skarżyć o potwarz, o odszkodowanie, i tym sposobem

ksiądz musiałby jakie kilka lat przesiedzieć w więzieniu. Uciekł też zaraz, a wszelki ślad za nim zaginął. Oskarżeni wszyscy zostali uwolnieni.

W tym czasie otrzymałem znowu list od Ojca Jenerała, w którym mi donosił, iż w Chicago mogę się zatrzymać i nadal. A co się tyczy przyjęcia tej misji, nic stanowczego na razie nie odpowiedział, zostawiając tę sprawę aż do swojego przybycia do Ameryki.

Niedługo mieszkałem w najętym domu. Parafianie bowiem zbudowali mi plebanię, dokąd się zaraz przenieśli, i rozpocząłem swoje obowiązki misyjne.

Wiedziałem dobrze, że mam do czynienia z różnorodnymi ludźmi, i że nie tak łatwo pójdzie mi tutaj, jak w Teksas. Polacy chicagowscy byli podzieleni na rozmaite stronnictwa. Niemal przy każdym zebraniu wszczynano się kłótnie, sprzeczki i spory, tak, że wiece ich zwykle kończyły się na niczym. Na czele stronnictw stali ludzie jakiejś podejranej konduity, należący do tajnych stowarzyszeń. Księża o tyle tylko poważali, o ile on im był potrzebny do ich osobistych celów. Niektórzy nawet nie taili się z tem, że należą do loży masonskiej.

Zadanie moje zatem nie było łatwe. Musiałem zawczasu przygotować się do rozmaitych trudności, a złemu roztropnie zaradzać.

Wojna prusko-francuska już była się skończyła, i O. Kajsiewicz przyjechał do Ameryki. Po krótkim pobycie w Kanadzie, przybył do Chicago. Na prośbę Biskupa przyjął misję, i mnie, jako już nieco obeznanego w miejscowej sytuacji, mianował przełożonym. Potem przysłał mi do pomocy O. Wołowskiemu.

Po kilkodniowym pobycie odjechał do Kentucky, gdzie również w tymże czasie otrzymaliśmy od Biskupa z Louisville kolegium w St. Mary's. Stąd napisał list do O. Barzyńskiego, że z powodu tak odległej przestrzeni jechać do Teksasu nie może, ale proponuje mu, by przyjechał tu do niego. Tak też i uczynił O. Barzyński, a za nim i ja pospieszyłem do Kentucky.

Byliśmy tam razem z O. Kajsiewiczem dwa tygodnie, podczas których odprawiliśmy z nim rekolekcje.

Następnie O. Kajsiewicz pozostał jeszcze w St. Mary's, a my z O. Barzyńskim odjechaliśmy do Chicago. Wkrótce też do nas przyjechał i O. Kajsiewicz.

Podczas tego drugiego jego pobytu w Chicago wybuchł ów pamiętny pożar, który całe miasto w perzynę obrócił. Chicago, dzięki korzystnemu położeniu, ześrodkowało w sobie cały handel Stanów Zjednoczonych tak, że w krótkim czasie wzrosło w olbrzymie miasto. Z tej przyczyny powstała emulacja miast innych, zwłaszcza Saint Louis, którego mieszkańcy głośno z tem się odzywali, że Chicago muszą zniszczyć. Już poprzednio były próby podpalenia go, ale straż ogniowa w porę temu zapobiegła. Aż oto pewnego dnia, przy gwałtownym wietrze, pożar tak się rozszerzył, że wszelki ratunek okazał się niemożliwy. Tego samego wieczora, kiedy pożar się rozpoczął, wracaliśmy z O. Kajsiewiczem z wizyty od księcia Władysława Sapiehy, który wówczas miał swój własny bank w Chicago. Jadąc do domu, spostrzegliśmy ogromną lunę nad zachodnią częścią miasta. O. Kajsiewicz począł się niepokoić, i zapowiadał zastraszający pożar. Ja zaś zapewniałem, że niema żadnego niebezpieczeństwa, że częste pożary to rzecz u nas zwykła, że wreszcie mamy znakomitą straż ogniową, która w krótkim czasie każdy pożar ugasi. Kiedyśmy przyjechali do domu, luna coraz bardziej oświecała horyzont, a pożar się rozszerzał. Działo się to w najgłówniejszej części miasta, w odległości półtora kilometra od nas. Już późno, około godziny 11 w nocy, nalegałem na O. Kajsiewicza, by poszedł na spoczynek. Przypuszczałem, że n a m pożar wcale nie grozi. Mimo to postanowiliśmy, by jeden z nas całą noc czuwał. Odmówiliśmy też z O. Jenerałem Różanicem. O. Barzyński pozostał więc na czatach, a myśmy poszli spać. Zaledwo usnąłem, aż tu słyszę we śnie potężny huk jakiejś eksplozji, i pomyślałem sobie we śnie: Snadź wielki pożar, kiedy aż z armat strzelają! Jakież było jednak moje zdziwienie, gdy się obudziłem i zobaczyłem pokój mój w takim oświetleniu, jakoby wśród jasnego dnia! Wstałem, i idę do frontowego pokoju, gdzie obu Ojców zastaję modlących się przyoknie. „A

co?” zagadnął O. Kajsiewicz. „Czy niema niebezpieczeństwa, cóż teraz znaczy wasza zachwalana straż pożarna?” Pożar był w istocie zastraszający! Wnet się ubrałem i pospieszyłem na ulicę, by się przekonać, jakie nam i naszemu domowi grozi niebezpieczeństwo.

Doszedłem blisko ognia i zobaczyłem bezgraniczną przestrzeń w groźnych, olbrzymich płomieniach.

Na jakie 200 kroków przed ogniem stała straż i nikomu nie pozwalała się zbliżyć. Cała strona miasta za rzeką, najbogatsza jego dzielnica, stała w płomieniach; czujność zaś straży zwróconą była po drugiej stronie rzeki, by zapobiec rozszerzeniu się pożaru. Niebezpieczeństwo groziło ze wszystkich stron. Rozpalone blachy i żelazne belki latały w powietrzu, pędzone szalonym wichrem.

Coraz to inny gmach pokrywał się płomieniami. Co chwila gdzieś daleko odległe kamienice w mgnieniu oka i niespodzianie pochłaniał niczym nienasycony żywioł. Na domiar nieszczęścia także maszyna parowa, która z jeziora pędziła wodę ku miastu, spłonęła, więc i wody zabrakło. Ogień zaś tak gwałtownie się szerzył, że straż pożarna zaledwo zdołała odprząc konie, a wozy i całe przyrządy wnet znikły w płomieniach. Siła ognia była straszna: ani kamień ani żelazo oprzeć się jej nie mogły. Niebezpieczeństwo wzrastało, bo pożar roztaczał coraz szersze i szersze kręgi. Nikt już nie był pewien swego losu. Dla przypatrzenia się tej strasznej katastrofie wstąpiłem na wieżę kościelną. Groźny oczom moim przedstawiał się widok; istne rozhukane morze ognia. Bez końca, bez granic, jak okiem sięgnąć, wszędzie ogień i ogień! Ludzie zrozpaczeni tłumnie uciekają w naszą stronę. Dwieście już osób, przeważnie kobiet i dzieci, umieściłem w naszej szkole. Były to rodziny amerykańskie. Wiele ludzi zginęło, wyskakując z okien na bruk, lub potonęło w rzece, gdy mosty poczęły się palić. Tysiące musiało nocować w polu za miastem; a było to pod jesień, gdy noc są już chłodne. Wnet też uformował się komitet ratunkowy, spiesząc z pomocą. Budowano baraki, gromadzono żywność, odzież, i rozdawano ją potrzebującym.

Sam u siebie miałem 300 osób do zaopatrzenia. Dzielnica polska nie była) jeszcze dotknięta ogniem; byliśmy jednak na pogotowiu, by na dany znak uciekać \v pole. Fiakra lub jakiegokolwiek wózka i za wysoką cenę trudno było dostać. Spakowaliśmy więc do kufrów same tylko kosztowniejsze rzeczy, obwiązaliśmy sznurkami, i każdy z nas, uciekając, miał kufer swój ciągnąć za sobą. W kościele spożyłem Przenajśw. Sakrament, a puszkę i kielichy spakowałem do kufra. Pod taką zgrozą przepędziliśmy dwa dni i dwie noce, aż wreszcie trzeciego dnia zmienił się kierunek wiatru, a tym sposobem i my ocaleliśmy.

Widząc O. Kajsiewicza tak przygnębionego, nalegałem na niego, by z Chicago wyjechał, tym bardziej, że już i sam poprzednio spieszył z powrotem do Europy. Po mozolnych staraniach ledwom wynalazł jakiś wózek, by odwieźć go do najbliższej stacji za miastem, w mieście bowiem wszystkie dworce były spalone. Za drogę pięciokilometrową zapłaciłem 10 dolarów, t. j. 50 franków.

Z hojnymi ofiarami pospieszyły rozmaite miasta. Nowy York, Filadelfia i inne otworzyły kredyt na odbudowanie Chicago.

Wzięto się też do usuwania gruzów, rozpoczęła się budowa wspaniałych kamienic, i w krótkim czasie widzieliśmy już nowe miasto, jeszcze piękniejsze od poprzedniego.

XVII

Misja polska W Michigan.

Po drugiej stronie jeziora Michigan, w Stanie tej samej nazwy, jest także osiadłość polska, gdzie wonczas był proboszczem O. Wieczorek.

Pewnego dnia przyjechał on do mnie zakłopotany, opowiadając mi, że w jego parafii jest jakaś Polka opętana. Na dowód swoich twierdzeń przytoczył fakt ten, że mówiła do niego po rosyjsku, gdy przedtem nie tylko, że nigdy tym językiem nie mówiła, ale go nawet nie słyszała, gdyż pochodziła z Prus zachodnich. A co jeszcze bardziej potwierdzało istotne opętanie, to to, że powiedziała mu kilka jego własnych grzechów. Poradziłem, by u mnie odprawił trzydniowe rekolekcje na tę intencję i przygotował się do egzorcyzmów. Uczynił tak, i odjechał. Po przybyciu na miejsce tak sobie poradził: przebrał się za myśliwca, by go opętana nie poznała, wziął strzelbę i poszedł w te strony niby to na polowanie. W kieszeni miał stulę, wodę święconą i książkę z egzorcyzmami. W chodząc do domu opętanej, jakoby przypadkiem, dał znak, by domownicy nie witali go jako proboszcza, lecz jako zupełnie obcego człowieka. Zaledwo zbliżył się do chorej, ta go wnet poznała, i zawołała po rosyjsku: „Patrzcie, jak sobie poradził, - jak wymyślił się, ubrał. A co tam masz w zanadrzu?” I zaraz poczęła krzyczeć, wołając: „Aha! to sznurek, chcesz mnie wiązać!” Krzyczała tak przeraźliwie, że niektórzy z obecnych z izby puciekali. Sznurkiem tym była stula, którą narzucił na siebie, i począł odmawiać egzorcyzmy. Błagała, zaklinała, by jej nie męczył, zagadując na różne sposoby, prośbą i groźbą, by egzorcyzmu zaniechał. Walka taka trwała z jakie 10 minut, aż w końcu groźnie krzyknęła: „Wychodzę, ale pomszczę się na tobie!” Głęboko westchnęła, i stała się jakoby umarła. Po ocuceniu, ciężko osłabiona, spojrzała spokojnie dokoła, bez żadnej świadomości tego, co się z nią przed chwilą działo. Na zapytanie, czy umie, lub rozumie po rosyjsku, odpowiedziała przecząco. Szatan zemścił się istotnie w sposób następujący: W Stanie Michigan, nie wiadomo z jakich powodów, zapaliły się lasy; prawdopodobnie podpalili je Indianie. Ogień tak gwałtownie się rozszerzył, że zniszczył całą tamtejszą kolonię polską. O. 'Wieczorek pospieszył do kościoła, by spożyć Przenajśw. Sakrament, po czym zabrał puszkę i kielich, a z powrotem, już wśród dymnego ognia, zaledwo uszedł śmierci.

Wpadł wreszcie do wilgotnego rowu, gdzie stracił przytomność. Szczęściem nadszedł wóz ratunkowy i jego zabrał. Dowiedzieliśmy się o tym pożarze z dzienników, które nam zakomunikowały, że wśród innych i ksiądz polski się spalił. Ale oto po kilku tygodniach ktoś pewnej nocy dzwoni u drzwi naszego domu. Wstaję, otwieram, i ze zdziwieniem widzę przed sobą O. Wieczorka.

Twarcz jego poraniona, brwi i rzęsy spalone; tak przybył wprost ze szpitala.

Do Chicago przyjechał po żywność i odzież dla swoich pogorzalców. – „A co”, powiada, „czyż nie zemścił się? Ale nic sobie z tego nie robię!”

W Chicago zawiązał się, na wiadomość o pożarze, komitet ratunkowy dla pogorzalców. Każdy kapłan miejscowy do komitetu należał. Poszedłem więc z nim, razem do biura i otrzymaliśmy żywność, jako też i ubranie dla 300 osób. Zabrał to wszystko z sobą na parostatek, i odjechał z powrotem. Tu go spotkała i druga katastrofa. Gdy bowiem dojeżdżał już do brzegu, z nagle powstała tak straszna burza, że wichur zakręcił okrętem, rozbił go i pogrążył w wodzie. Inny parowiec wnet pospieszył z ratunkiem; ludzi uratował, ale okręt zatonął. Na trzecią noc po jego wyjeździe znowu u drzwi odezwał się dzwonek, i jakież było moje zdziwienie, kiedym ujrzał O. Wieczorka! Na domiar swoich niepowodzeń, nie znalazł on nigdzie fiakra, musiał więc iść piechotą, i tu go znowu spotkała niemiła przygoda. Oto na jednej z ulic, już blisko nas, gdy przechodził trotuarem, ktoś z okna piętrowego wylał na niego nieczystości. Mokry i zziębnięty, witając mnie, zawołał: „O, i znowu ten rogaty pomścił się; może to będzie już koniec, ba uraczył mnie deserem!” - Istotnie nie doznał już

patem żadnej podobnej przygody.

XVIII Czarna ospa w Chicago.

W krótkim czasie pa pożarze wybuchła zaraza, tak zwana „czarna ospa”. Prawie każdy, ktokolwiek był dotknięty tą okropną chorobą, z niej nie wyszedł, lecz w kilka dni kończył życie. A strasznie wyglądał zarażany ospą: cały pokryty ciemnymi wrzodami, twarz zaś jakby zgangrenowana. Ociemniały, niemy, ledwo jakiś znak życia okazywał.

Wnet też zawiązał się komitet da pielęgnowania chorych. Gdziekolwiek w jakim domu był zarażany tą chorobą, nie walna była tam mieszkać zdrowym, musieli stamtąd się usunąć. Magistrat wydał raz porządzenie, aby każdy taki dom miał na drzwiach plakat z napisem: „Czarna ospa”. Prócz wyznaczonych da pielęgnowania osób, tylko ksiądz, lekarz i komitetowi mieli prawa wejść da takiego domu. Dzień i noc byłem na usługach chorych, udzielając im Sakramentów świętych. Mieliśmy da nich osobne Oleje święte, których udzielaliśmy przy pomocy małego srebrnego krzyżyka. Dla ostrożności kazałem sobie zbudować z desek odosobniony, mały alkierzyk, gdzie przechowywałem rzeczy, w które się ubierałem, gdym szedł da zarażanego domu. Nie na wiele się ta jednak przydała, gdyż byłem tak cały przesiąknięty zaraźliwym powietrzem, że czułem, jak je wszędzie raz noszę.

W jednym domu byłem świadkiem następującej sceny: na parę tygodni przed zarazą przybył z Europy da Chicaga pewien Polak wraz z swoją siostrą; i on dostał czarnej ospy.

Wtedy dano mi znać, bym pospieszył z Sakramentami da niego. Wszedłszy do jego mieszkania, zauważyłem, jak kilku panów z komitetu zmuszała siostrę chorega, by koniecznie opuściła mieszkanie. Biedna .opierała się, błagając ze łzami, by jej pozwolili pielęgnować brata; odmówili jej. Skoro tylko wszedłem da pokoju, poczęła zaraz prosić mnie o to samo. Przejęty jej głębokim bólem, wstawiłem się za nią, by ją pozostawiono. Przystali na to pod warunkiem, że ja wezmę odpowiedzialność całą na siebie.

Uszczęśliwiona, pielęgnowała do końca chorego brata, a P. Bóg tak zrządził, że nie tylko się nie zaraziła sama, ale i brat wyzdrowiał. Zaraza ta trwała parę miesięcy, aż w końcu ją mrozy zniszczyły.

XIX Przygoda z małą Karolcią.

Wśród pracy w Chicago miłą miałem rozrywkę w odwiedzinach u doktora, Polaka, u którego, jak to wyżej wspomniałem, zatrzymałem się w czasie onej nocy, w której pobito tutejszego księdza. Doktor ten niedawno temu wraz z żoną i 12-letnią córeczką przyjechał z Galicji; tu, w Chicago, otworzył aptekę i był równocześnie lekarzem.

Córeczka, pięknej powierzchowności, uposażona przy tym niepospolitymi zdolnościami umysłu, chlubę rodzicom wróżyła.

Potrzeba było tylko odpowiednio ją wychować, a tego właśnie nie było. Matka wciąż pieściła, schlebiała, we wszystkim dogadzała tak, że Karolcia była wszechwładną panią całego domu. Ojciec zaś, cały pochłonięty pracą, jako aptekarz i lekarz, nie mógł temu zaradzić. Chciał oddać córkę do jakiegoś pensjonatu, ale matka stanowczo temu się opierała. Prosił więc mnie bardzo, abym ja jakoś temu zaradził, wpłynął na matkę i córkę tak, by

Karolcię odwieźć na wychowanie gdzieś z dala od domu. Podjąłem się tego, i sprawę rozpocząłem. Kiedym się przekonał, że tu główną rolę gra sama Karolcia, kiedym widział, jak sprytem swym wszędzie przeprowadza swą wolę, umyśliłem przede wszystkim rozumnie ją sobie zjednać i pozyskać jej zaufanie. Często z nią przebywałem, jeździliśmy razem na wycieczki, podczas których tłumaczyłem jej korzyści kształcenia się poza domem w jakimś dobrym pensjonacie. I oto ku wielkiemu zdziwieniu matki, nie tylko, że chętnie na to przystała, ale nawet pragnęła chęć tę jak najprędzej skutecznić. Matka z początku się temu sprzeciwiała, ale w końcu, choć niechętnie, uległa woli córki. Teraz myślałem nad wyborem odpowiedniego dla mej pensjonatu.

Niedaleko Chicago, o jakie trzy godziny drogi koleją żelazną, w mieście „South Bend” - są zakonnice pod wezwaniem „Notre Dame”. O ich pensjonacie dla panien słyszałem zewsząd jak najlepiej. Postanowiłem więc sam tam pojechać i osobiście się o tem przekonać. Przyjechałem do „South Bend” wieczorem i zagościłem u miejscowego ks. Proboszcza, Anglika. Przyjął mnie z szczerą gościnnością i kilka dni zatrzymał u siebie. Klasztor zakonnice, tak zwanych Notredamek, z pensjonatem dla panien, był o jakie dwa kilometry za miastem. A imponujący przedstawiał wygląd: otoczony murem, jakby wspaniały zamek. Matka Przełożona powitawszy mnie życzliwie, poleciła dwom Siostram, aby mnie wszędzie oprowadziły i obznaomiły z urządzeniem całego ich internatu. Po czym wprowadzono mnie do osobnych pokojów gościnnych, gdzie już był przygotowany suty podwieczorek. W końcu na prośby Matki Przełożonej musiałem u nich zanocować i na drugi dzień odprawić Mszę świętą. Przy pożegnaniu rzekła mi: „Mamy na wychowaniu panienki z różnych narodowości, tylko żadnej Polki niema i nigdy nie było, cieszy nas to bardzo, że i tę mieć będziemy”. Po otrzymaniu wszelkich informacji, pożegnałem zakonnice i odjechałem do ks. Proboszcza, skąd tegoż jeszcze dnia wróciłem do Chicago.

Opowiedziałem rodzinie doktora wszystko szczegółowo, z wielką pochwałą pensjonatu, zachęcając do prędkiego wyjazdu. Karolcia od razu nabrała ochoty, matka zaś aczkolwiek z niechęcią, wreszcie na to przystała.

Po sporządzeniu w ciągu dwóch tygodni przepisanej wyprawy, mogliśmy już jechać. Ojciec, w ciągłym zatrudnieniu jako aptekarz i lekarz, odwieźć jej nie mógł; matka może z żalu... nie chciała. Musiałem więc zawieźć ją sam.

Odprawiono nas na kolej; matka płakała, ojciec się cieszył, a Karolcia w dobrym humorze wszystkich żegnała. Wieczorem przyjechaliśmy do South Bend i zajechaliśmy na noc do ks. Proboszcza. Karolcia wciąż wesoła, nieustannie coś opowiadała.

Nazajutrz pojechaliśmy do pensjonatu. Matka Przełożona serdecznie nas powitała, Karolcię zaraz zabrała z sobą i zaprowadziła ją do towarzyszek, by się z sobą zapoznały. Po kilku godzinach mojego tam pobytu pożegnałem ją i powiedziałem, że dziś jeszcze pojedę dalej na 6-cio dniową misję, poczym tu powrócę, i 7-go dnia wieczorem o godz. 5. na pewno będę u niej. Otóż w ciągu tego czasu stało się wydarzenie, którego ofiarą mogło paść życie dwóch młodocianych istot.

Karolcia zaczęła ogromnie tęsknić i z niecierpliwością mnie oczekiwała; ja zaś, z powodu przeszkód w komunikacji kolejowej, spóźniłem się o kilka godzin. Wtedy ona sądząc, że ją zwiódł i odjechał do domu, umyśliła ucieczkę.

Klasztor, jak już wspominałem, z rozmaitymi zabudowaniami, otoczony był wysokim murem; a tylko z jednej strony, za ogrodem, mur był niski, gdyż tuż za nim wznosiła się niedostępna a spadzista skała, u stóp której płynęła rzeka. Tegoż więc samego wieczora, kiedy to miałem odwiedzić Karolcię - ona podczas zabawy panienek nieznacznie się oddaliła wraz z jakąś 4-letnią dziewczynką w kierunku owej skały.

Obie weszły na mur i po skale stoczyły się na dół i tylko Opatrzności Bożej trzeba zawdzięczyć, że, prócz lekkich obrażeń, nie było innych gorszych następstw; mogły bowiem łatwo wpaść do rzeki, tuż przy skale płynącej. Wstały... i rozmaitymi ubocznymi drogami

przyszły niespostrzeżone do miasta, zmierzając wprost do dworca kolei. Tu Karolcia podeszła do biura i w te słowa odezwała się do urzędnika: „Jesteśmy obydwie z Chicago, chcemy teraz tam pojechać, lecz zabrakło nam pieniędzy na kupienie biletów; proszę nam dać takowe na kredyt, a ojciec mój, za przybyciem naszym na miejsce, z wdzięcznością należytość tę zwróci”. Ale bileter w tej chwili domyślił się, że to jakaś ucieczka i odpowiedział jej grzecznie, że pociąg w tej chwili nie odchodzi, że trzeba nań w sali zaczekać. Tymczasem w sekrecie dał znać o tern ks. Proboszczowi, prosząc go, by przybył jak najprędzej.

Ks. Proboszcz też wnet nadszedł i zabrał je do siebie.

W czasie tej ucieczki Karolci nadjechałem i ja, i wprost z dworca udałem się do klasztoru. Tu znowu przyjęto mnie gościnnie, wprowadzono do osobnych pokojów i zaproszono do wieczerzy. Widziałem się z Matką Przełożoną, z innymi zakonnicami, ale one nic mi nie wspominały o Karolci. Pewny byłem, że przyjdzie do mnie, choćby tylko na chwilę, aby się przywitać. Było to o 7.30 wieczorem. Zjadłem kolację; po czym Siostra sprzątnęła wszystko i odeszła. Cicho wokoło, ja wciąż czekam i czekam na Karolcię. Aż oto puka ktoś do drzwi, i w najokropniejszej trwodze wchodzi Matka Przełożona wołając: „Ojcie! Nieszczęście! - Karolcia z małą dziewczynką uciekła i najprawdopodobniej utopiły się obie w rzece, gdyż tylko w tę stronę możebna była ucieczka”. Opowiedziała dalej, jak w czasie zabawy w ogrodzie one zniknęły, jakie jest otoczenie murowane ogrodu, jak tylko z tej strony możebne jest przejście, ale tak spadziste, taka tam przepaść, że zatrzymać się nie podobna. Na tę wiadomość odczułem, w niewytłumaczony dla mnie sposób, jakoby pewną intuicję ich ocalenia, i odezwałem się w te słowa: „Matko, uspokój się! P. Bóg je ocalił. Proszę kazać zaprząć konie, i niech dwie Siostry jadą na probostwo, tam je znajdą”. I oto w godzinę później przychodzi do mnie rozradowana Matka Przełożona, trzymając małą dziewczynkę na ręku. „A Karolcia gdzie?” zapytałem. A owo maleństwo, zając ciasteczko, akcentem dziecka odpowiada mi: „Karolcia jechać nie chciała, nie wierzyła, że Ojciec przyjechał, i pozostała na probostwie”.

Nazajutrz, po odprawieniu Mszy świętej, pojechałem do ks. Proboszcza. Ostro wymówiłem Karolci jej postąpienie i żądałem, by zaraz ze mną wróciła do pensjonatu. Poczęła gwałtownie płakać i odmówiła stanowczo. Widząc to wszystko, ks. Proboszcz wezwał mnie do siebie i radził, bym już nie nalegał, z obawy, by dziewczyna się nie rozchorowała. Nie namawiałem więc dalej, tylko powiedziałem, że zatelegrafuję do ojca. „I ja pójdę z Ojcem”, odpowiedziała. „Nie pójdiesz”, odrzekłem, „skompromitowałaś siebie i mnie; już całe miasto wie o tym”. Więc proszę mi pozwolić odprowadzić siebie choćby tylko do bramy na ulicę, a tam czekać będę powrotu!” „Dlaczego tego żądasz?” „Bo obawiam się, że mnie Ojciec porzuci i odjedzie”. „Bądź spokojna, tego nie zrobię”. „Proszę mi dać słowo, że mnie Ojciec nie opuści, a czekać będę spokojnie!” „Masz je!” odrzekłem i wyszedłem.

Biedna, zdenerwowana, przez cały ten czas czekała na mnie przy bramie. W kilka godzin potem otrzymałem telegraficzną odpowiedź, że ojciec sam przyjedzie dziś wieczorem. Po spożyciu wieczerzy rozeszliśmy się na spoczynek do przeznaczonych nam pokojów.

Około północy, gdyśmy już wszyscy spali, nadjechał jej ojciec. Zaniepokojony tym nagłym wezwaniem go, w tej chwili zapytał mnie, co się stało. „Nic nadzwyczajnego”, odrzekłem, „Karolcia nie chce być w pensjonacie u zakonnicy. Jutro opowiem Panu całe zdarzenie, teraz nie mogę, bom śpiący; a i Pan zmęczony, więc proszę udać się na spoczynek”.

„A Karolcia gdzie!”

„Oddałem ją przecież do pensjonatu, ale ona nie chce tam być”.

Nie mogłem ojcu całej prawdy powiedzieć z obawy, by on, popadłszy w gniew, dziecka nie przestraszył.

Nazajutrz z rana, kiedy on jeszcze spał, zapukałem do drzwi Karolci i zabrałem ją z

sobą do kościoła. Wtedy to prosiła mnie rzewnie, bym ją bronił przed gniewem ojca. Wróciwszy z kościoła, spotkaliśmy się z ojcem przy śniadaniu. Zdziwiony, gniewnie się odezwał: „Co to ma znaczyć?” A Karolcia w tej chwili ukryła się poza mną. Ks. Proboszcz, widząc wzburzenie ojca, zaprosił go do osobnego pokoju i tam uspokajał, tłumacząc, by nie nalegał, gdyż córka mogłaby zachorować, i radził, by ją zabrał z sobą do domu.

Po chwili, już uspokojony, powiedział, że córki zmuszać nie będzie; by pozostała w klasztorze, że ją zabierze do domu, ale wymaga, aby z nim zaraz pojechała do pensjonatu, by za to wszystko przeprosić Matkę Przełożoną. Nie wierzyła temu i jechać nie chciała. Ale gdy oświadczył, że to nie podstęp, ona z wyrazem zaufania spojrziała na mnie i rzekła: „Dobrze, więc jedziemy razem”. Wnet też i pojechaliśmy.

Przełożona sama to przyznała, że Karolcia z powodu takiej tęsknoty za domem nie może pozostać w pensjonacie, radziła ją zabrać i przyrzekła, że później, gdy Karolcia zechce, przyjmie ją znowu. Odjechaliśmy do ks. Proboszcza i tegoż dnia przybyliśmy do Chicago. Zaniepokojona matka serdecznie córkę powitała, pytając nas wszystkich, co i jak się to wszystko stało. Ja opowiadałem całe zdarzenie, a matka obejmuje Karolcię i woła: „Jakaś Ty mądra, żeś tak sobie poradziła!” Na to ojciec zerwał się z krzesła, splunął i wyszedł z pokoju... Po pewnym przeciągu czasu oddano Karolcię do „Sacre Coeur” w Chicago.

Pogodziliśmy się znowu; i odtąd często ze mną znów przestawała. Uczyla się zawsze celująco i, jak' później słyszałem, pięknie się wychowała.

XX

Walka z Masonami.

Jeżeli w Teksas groziło nam niebezpieczeństwo ze strony różnorodnych bandytów miejscowych, to w Chicago było ono innego rodzaju. Walczyliśmy z Masonami. Wprawdzie w Ameryce nie są oni tak groźni, jak w Europie, nie występują publicznie tak wrogo przeciw naszemu Kościołowi, zawsze jednak są niebezpieczni ze swoją rzekomą tolerancją, choćby tylko dlatego, że się sprzeciwiają nauce katolickiego Kościoła.

Swoich członków wspierają w potrzebie, pozwalając im należeć do religii wedle woli. Mają wszędzie swoje loże, a po ulicach odprawiają publicznie procesje w swych odznakach masonskich. Propagandę swą szerzą głośno z wyrazem postępu i pożytecznej solidarności. Wielu z Polaków należało do nich ze względu na zyski materialne. Musiałem więc przeciw temu wystąpić i odezwać się z ambony. Kiedy podczas moich wizyt parafialnych widziałem II niektórych porozwieszane po ścianach dyplomy masonskie, wtedy odzywałem się ostrzej. Po pewnym czasie otrzymałem list w angielskim języku z propozycją, bym nigdy nic nie mówił o masonerii, ni źle ni dobrze, bym pomijał zawsze milczeniem, a za to będę co miesiąc otrzymywał stałe honorarium w kwocie 20 dolarów. Oczywiście, nic na to nie uważałem i rzecz swą prowadziłem dalej.

W kilka tygodni później otrzymałem znowu list, ale już z pogrózkami, bym zaprzestał mówić o masonerii, gdyż w przeciwnym razie przyplączę to życiem. List ten zakomunikowałem wszystkim z ambony, i w końcu odezwałem się w te słowa: „Moi drodzy Bracia! Ja zawsze przemawiam do Was po polsku; widoczna, że któryś z Was jest Masonem, a może i wielu, kiedy im donosicie, co tu do was mówię. Smutne to, zaprawdę, że wśród Was znajduje się Judasz i mnie sprzedaje. Niechże on zakomunikuje im i to, co teraz usłyszycie: Misjonarz podobnej śmierci się nie lęka, a dla spełnienia swojego obowiązku gotów jest poświęcić i życie”. Potem tak sobie poradziłem: Wiedziałem dobrze, którzy z moich Polaków należą do masonerii. Wśród nich był zwłaszcza jeden, zamożny i najwięcej wpływowy; tegom właśnie o donosy posądzał.

Tejże niedzieli, po owym rannym kazaniu, poszedłem wieczorem do niego, wzięwszy z sobą do kieszeni rewolwer. Wszedłem do pokoju bez żadnego znaku zawiadomienia. W pierwszym nie było nikogo; ale posłyszałem, że w następnym toczy się jakaś rozmowa. Wchodzę również bez pukania; i oto widzę kilku Amerykanów, siedzących z nim razem koło stołu i zajętych pogadanką. Gospodarz wnet powstał, grzecznie mnie przywitał i przedstawił gościom.

Zaraz też przyniósł butelkę wina i począł wszystkich nas ugaszczać. Wtedy odezwałem się do nich w te mniej więcej słowa: „Dziwni ludzie są ci Masoni. Nasyłają mi listy z pogrózkami, bym zaprzestał mówić o nich, a nie pojmują tej najważniejszej prawdy, że każdy człowiek, a cóż dopiero kapłan, przede wszystkim musi słuchać Boga! Pogrózek ich nie lękam się, owszem, wygram Niebo, gdy w obronie prawdy zginę z ich rąk. A zresztą nie myślę tak dobrowolnie im się poddać; strzelam celnie, a oto rewolwer, który zawsze z sobą noszę w kieszeni”. Tu im pokazałem swój rewolwer. „A księdzu wolno zabijać ludzi?” zapytali mnie. „Zabijać”, odpowiedziałem, „nie wolno nikomu i nikogo, ale bronić się wolno i księdzu. Może panowie kiedy zauważyli mnie na ulicy, jak, idąc, zawsze rękę trzymam w kieszeni; właśnie mam na pogotowiu rewolwer; i kiedy kto się zbliża, uważam na jego ręce; jeśliby tylko sięgnął do kieszeni, wnet bym rewolwer wyciągnął”. Pogawędziłem jeszcze nieco z nimi i wkrótce wyszedłem. Odtąd miałem znów przez pewien czas spokój, aż póki nie zaszedł fakt następujący:

Potrzebowałem dla siebie nauczyciela angielskiego języka. Otóż zgłosił się do mnie z tą posługą pewien Polak, już starzec, emigrant z powstania r. 1831. Wykształcony wszechstronnie, pięknie mówił po angielsku. W domu jego nie byłem nigdy i dlatego bliżej go nie znałem. Potem się dowiedziałem, że był protestantem, bluźnierczo - wrogiem dla katolicyzmu i zaciętym Masonem.

Kiedy był jeszcze młodzieńcem, emigrował z kraju, pojechał do Londynu, i tu, z żalu do Pana Boga, że powstanie się nie udało, przeszedł na protestantyzm i wstąpił do loży masońskiej.

Ożenił się z Angielką, protestantką, potem wraz z żoną i trzema córkami przeniósł się do Ameryki. Żona już nie żyła; trzy córki były zamężne; przy jednej z nich zamieszkał. Dla udzielania mi lekcji, przychodził do mnie trzy razy w tygodniu. W obcowaniu zawsze zachowywał się dyskretnie, nigdy żadnych kwestii religijnych nie wszczynał.

Mimo to, i żem się później dowiedział, kim on jest, nie uważałem za konieczne, aby zaprzestać pobierania lekcji u niego. Moim parafianom to się nie podobało, wiedzieli bowiem dobrze, jakim on był wrogiem naszego Kościoła, słyszeli, jak nieraz bluźnił, szydząc z nauki katolickiej. I moi Ojcowie również nie byli z tego zadowoleni. Ja zaś miałem jakieś uczucie, by go zatrzymać i nadal; dlatego, mimo przykrości, jakich stąd niekiedy doznawałem, nie oddaliłem go od siebie. W obcowaniu naszym, w rozmowie, nigdy tej strony nie naruszałem, jako też również unikałem z nim rozmowy o religii. Ojców moich prosiłem, by mu okazywali grzeczność, a przy nadarzonej sposobności nawet pewną życzliwość.

W takiej etykietce żyliśmy z sobą rok cały, i w końcu widziałem już na nim pewne zmiany, szczerą życzliwość, a nawet przychyłność dla naszego Kościoła. Wreszcie sam mi zaproponował, byśmy zwrócili rozmowę na temat religii. „W jakim celu?” zapytałem.

A kiedy mi odpowiedział, że w najszczerzym celu poznania prawdy, chętnie na to przystałem.

Na wstępie zaraz oświadczył mi, czym go sobie zjednałem. „Nigdy”, powiedział, „żaden ksiądz katolicki, wiedząc, żem Masonem, nie chciał ze mną rozmawiać; z pogardą odwracał się ode mnie. Ty pierwszy postąpiłeś tak życzliwie, a nawet tak serdecznie, żeś mnie ujął od razu. Tym więcej to oceniłem, kiedy się dowiedziałem, ileś przez to wycierpiał. Proszę Cię, Ojcze, teraz ucz mnie, oświecaj, bo do Ciebie należę całą duszą!”

W tym jego wynurzeniu się widziałem szczerą prawdę, a łzy w jego oczach utwierdziły

mnie w tym mniemaniu. Odtąd już, zamiast lekcji angielskiego języka, miewaliśmy dysputy religijne. - Tymczasem przez kilka dni zaprzestał przychodzić do mnie. Zdziwiony tym, a chcąc dociec przyczyny, po raz pierwszy poszedłem do niego. Zadzwoiłem przy drzwiach kamienicy, w której on mieszkał.

„Czy tu mieszka pan X?” zapytałem, „Tu”, odpowiedziała mi jakaś Amerykanka.

Jakież było moje zdziwienie, kiedym się dowiedział, że jest umierający. I cóż to tak nagle się stało.? Oto kiedy ostatnim razem wracał ode mnie, na skrócie ulicy nadjeżdżał powóz, a on, chcąc prędko się cofnąć, upadł i złamał nogę. Lekarze orzekli, że amputacja nogi nic by już nie pomogła z powodu jego podeszłego wieku, miał bowiem 76 lat. Leżał prawie nieprzytomny, jęcząc w boleściach. Kiedy mnie zobaczył, widziałem, jak zaraz zapanował nad sobą, z radością przywitał, i prosił o dopełnienie aktu przyjęcia do Kościoła naszego.

„Ojczel!” rzekł, „Bóg twój, to i mój, wiara Twoja, przekonania, i moje także same!” Zaraz też kazałem wyjść jego córkom z pokoju, bo chociaż, jako Angielki, nie rozumiały naszej mowy, ale z twarzy ich wyczytałem, że niechętnie, a nawet z wyrazem gniewu na mnie patrzyły. Były bowiem protestantki i Masonom sprzyjały.

Po wyjściu ich zamknąłem drzwi; przygotowałem chorego do śmierci i wypowiadałem. Potem, w sekrecie przed otoczeniem jego, poszedłem do najbliższego kościoła po Sakramenty święte, i znowu bez świadków udzieliłem mu ich. W końcu przyszła mi myśl, że ta cała sprawa nie może już być trzymaną w tajemnicy, bo, gdy on umrze, Masoni zajmą się jego pogrzebem; a więc trzeba temu zapobiec. W tej myśli zaproponowałem mu, by wezwał do łoża swoje trzy córki i objawił im ostatnią swą wolę. „A nie lękasz się, Ojczel, tego? Masoni zechcą się mścić”. „Nie, wcale nie”, odrzekłem. Wnet kazał je zawołać i odezwał się w te słowa:

„Moje Dzieci! Oznajmiam wam, że przeszedł na łono Kościoła katolickiego i żądam, by pogrzeb mój odbył się według obrzędu tegoż Kościoła”. A gdy wypowiedział te słowa, ja dodałem jeszcze od siebie: „Czyście to rozumiały?” Odpowiedziały, że tak. Wnet go pożegnałem i odszedłem do domu. Nazajutrz, około południa, poszedłem go odwiedzić. Wchodzę do pokojów i widzę wszędzie jakichś panów, wspólnie z sobą nad czymś radzących. Domyśliłem. się od razu, że chory może już umarł, i że to są Masoni i radzą o pogrzebie, a córki pewnie o ostatniej woli ojca zamilczały.

Wnet też zapytałem jednego z tych panów, jak się ma chory. Po jego odpowiedzi, że umarł, wezwałem wszystkie trzy córki i kazałem im iść za sobą do pokoju nieboszczyka. Widziałem, jak całe zgromadzenie tych panów, zdziwionych takim moim postępowaniem, w milczeniu szło za mną.

Nieboszczyk leżał na tym samym łóżku, na którym niedawno skonał, przykryty całkowicie kołdrą. Zbliżywszy się do łoża, odchyliłem kołdrę z głowy i .zawołałem do córek w te słowa: „W imię waszego zmarłego ojca, którego tu cienie jeszcze przebywają, zobowiązuję was, byście powiedziały, jaka była ostatnia jego wola, gdyż w przeciwnym razie ja go wskreszę, a wtedy biada wam!” Po co tę ostatnią groźbę dodałem, nie wiem i sam się jej potem przeląknę; widoczna, że wypowiedziałem ją nader silnie, gdyż owe panie padły na ziemię, a wszyscy zamilkli zdumieni.

Po chwili odpowiedziały jednogłośnie, jaka była ostatnia wola ich ojca. Wtedy jeden z obecnych przystąpił do mnie i odezwał się w te słowa: „Reverend! (tj. Wielebny księżel!) Poznaję z wymowy Twojej, żeś cudzoziemiec. Czy znasz prawa Stanów Zjednoczonych?” „A o co chodzi?” zapytałem.

„Tu jest wolność wyznań, pogrzeb odprawiamy wspólnie”.

„Tak”, odrzekłem, „wolność dla każdego wyznania, i z tej wolności będę korzystał, by nieboszczykowi wyprawić pogrzeb katolicki. Panów zaś zapraszam na ten pogrzeb, ale tylko w gronie wszystkich innych osób, bez żadnych odznak masonskich, gdyż Kościół mój na

inną spółkę nie pozwala”. Zamilkł; a ja zwróciłem się do córek nieboszczyka i powiedziałem im, że niebawem przyślę moich ludzi, by urządzili katafalk i na nim trumnę ze zmarłym postawili. Po czym wnet wyszedłem.

Dopiero, gdym został sam na ulicy, ochłonąłem z tego niezwykłego zajścia. Masoni, groźba wskrzeszenia umarłego, lęk córek, zapowiedź wspólnego pogrzebu, wszystko to razem dziwnie zakotłowało w mej głowie. Co teraz mam począć! Niema innej rady, tylko muszę iść do dyrektora policji, wszystko mu opowiedzieć, i prosić o pomoc. Chować wspólnie niepodobieństwem, bo będzie jakaś gorsząca awantura. Dyrektor, po łaskawym wysłuchaniu mnie, odpowiedział, że wolno każdemu odprawiać pogrzeby podług jego przepisów, a wszyscy inni, nie należący do wyznania i religii zmarłego, mogą uczestniczyć tylko jako zwykli, prywatni ludzie. „Proszę być spokojnym”, dodał, „postaram się, by zaburzeń nie było żadnych”.

Dałem zaraz znać mojej Polonii o wszystkim, co zaszło, i poleciłem, abyśmy mu wyprawili wspaniały pogrzeb własnym naszym kosztem. Naprzód sprowadziliśmy ciało do kościoła, przy licznych udziale parafian, odprawiliśmy nabożeństwo, poczym odwieźliśmy zwłoki na nasz polski cmentarz. Masonów nie było wcale. Przy grobie miałem przemowę. Opowiedziałem, kim był nieboszczyk, jak w ostatniej chwili się nawrócił, i w końcu tak się odezwałem: „Masoni chcieli wziąć czynny udział w pogrzebie, ale nie zezwoliłem na to, gdyż, jak wiecie, Kościół nasz na taką spółkę nie pozwala. Zaprosiłem ich jednak na pogrzeb, jako ludzi prywatnych dla oddania zmarłemu ostatniej posługi. Gdzież oni są? Niema ani jednego. Nieboszczyk służył im lat pięćdziesiąt. Samo więc uczucie ludzkości nakazywało im znaleźć się tu, choćby w kilku, by za tyle lat jego służby rzucić na trumnę parę grudek ziemi na znak chociaż tej marnej ludzkiej życzliwości. Oto macie dowód, jakie tam wszystko czcze, oparte tylko na samych formach próżnych przechwałek”. Wszystko to było na czasie dla oświecenia i przekonania moich parafian o zgubnych wpływach masonerii. Nikt już potem o Masonach nie mówił, i zdawało się, że sprawa z nimi była zakończona. Tymczasem zemsta przeciw mnie przygotowywała się w dalszym ciągu, aż dokonaną została w Londynie, o czym niżej, z kolei, opiszę.

Wkrótce po tym pogrzebie umarł w Rzymie nasz O. Jenerał Kajsiewicz, i ja musiałem jechać na wybór nowego jenerała do Rzymu. Wyjazd ten przerwał wszystko na czas nieokreślony, i do Ameryki już nie powróciłem.

XXI Europa.

Ojcowie, zebrani w Rzymie w roku 1873. na kapitułę, jednozgodnie obrali jenerałem O. Semenenkę. Zaraz po wyborze mieliśmy posłuchanie o Ojca świętego Piusa IX. W czasie tej audiencji każdy z nas z osobna był mu przedstawiony. Kiedy kolej przyszła na mnie, i ktoś się odezwał, że jestem z Chicago, wtedy Ojciec święty zagadnął mnie żartobliwie: „Toś ty z Chicago? Aha! powiedzże nam, dlaczegoś Ty miasto spalił?” Na moją odpowiedź przeczącą zwrócił się do obecnych i rzekł:

„Zaraz się przekonamy, czyś nie winien; a kościół twój i dom czy spalił się?” „Nie”, odrzekłem. „A co! widzicie, spalił miasto, a dom swój i kościół oszczędził!” Potem, przy odejściu, błogosławiąc wszystkich, jeszcze raz zwrócił się do mnie i zawołał: „Pamiętaj, byś Rzymu nie spalił, bo to nie Chicago!”

Po skończonej kapitule posłał mnie O. Jenerał Semenenko do Jazłowca na kapelana i spowiednika Sióstr Niepokalanek. Po tak czynnym i szerokim życiu w Ameryce, nie bardzo i ta zamiana przypadła do gustu. Praca w ścisłych ramach monotonnego życia zakonnice wcale

nie odpowiadała mojemu usposobieniu. Ale trudna rada! Posłuszeństwo wszelkie względy przemogło; musiałem jechać do Jazłowca i tam pozostać rok cały wśród cichej pracy z zakonnicami.

Następnie znowu powołano mnie do Rzymu, na studia patrystyki. Rozczytywanie się w dziełach Ojców Kościoła, zwłaszcza św. Ambrożego, a najbardziej św. Jana Chryzostoma było wtedy jedynym zatrudnieniem moim. Poza tym św. Teresa i św. Jan od Krzyża byli moimi mistrzami w studiach ascetycznych. Jakże pożyteczną dla duszy jest cicha i spokojna praca, z dala od świata i od wszelkich gwałtownych zajęć! Wielce to jest polecenia godną rzeczą, aby, po pewnym przeciągu czasu wśród czynnej pracy misyjnej, zatrzymać się w tym, lubo chwalebny, pędzie, i na jakiś czas odosobnić się, by odnowić studia teologiczne, a jeszcze bardziej, by zająć się sobą samym i zbawieniem swej duszy!

Już w Jazłowcu, gdzie z początku bardzo byłem niezadowolony z zajęcia kapelana, przekonałem się w końcu, jak było to dla mnie pożytecznym.

XXII Paryż.

Po rocznym pobycie w Rzymie zażądał mnie O. Aleksander Jełowicki do misji naszej w Paryżu. Zajęciem tam moim było wygłaszanie kazań w niedziele i święta w kościele de l'Assomption. Mając świeży zasób studiów w tym przedmiocie, łatwo mi było podołać temu zadaniu. Praca więc znowu misyjna całkiem według mojej myśli. Emigracja nasza była wtedy jeszcze liczna, a oprócz niej cała niemal polska arystokracja większą część roku spędzała w Paryżu, licznie uczęszczając do naszego kościoła na polskie nabożeństwa. Były tam także polskie szkoły, dobroczynne zakłady pod opieką Szarytek, gdzie wychowywały się dzieci emigrantów, a starzy weterani mieli troskliwą opiekę. W Wersalu zaś były polskie Wizytki, do których jeździliśmy z naukami i w celu słuchania spowiedzi. Była więc praca urozmaicona wszechstronnie, a tym milsza, że wśród swoich. Tak więc znowu znalazłem się na swoim właściwym terenie.

Pewnego razu miałem dziwne zdarzenie w Wersalu u Panien Wizytek. Kiedyśmy w domu naszym w Paryżu, w południe, spożywali śniadanie, służący podał Ojcu Jełowickiemu list z poczty. List był z Wersalu od Przełożonej PP. Wizytek, która prosiła, by którykolwiek z nas przyjechał tegoż dnia o godzinie piątej wieczorem na pogrzeb jednej z zakonnicek. Ojcowie zwrócili się do mnie z propozycją pojechania. Chętnie na to przystałem, i na oznaczoną godzinę już byłem w Wersalu. Pogrzeb odbył się, jak było zapowiedziano, o godzinie piątej. Podczas obiadu Matka Przełożona zaproponowała mi, bym u nich zanoctował i na drugi dzień odprawił Mszę św. za duszę nieboszczki, - co też uczyniłem.

Zanim dokończyliśmy obiadu, Przełożona wraz z innymi zakonnicami odeszła, i zamknęła żelazną kratę czarnymi okiennicami. Wkrótce też i z tej strony krat goście rozeszli się, a ksiądz kapelan zaprosił. mnie do siebie. na herbatę. Mieszkał on przy tej samej ulicy, ale paręset kroków dalej.

Rozmownica, w której jedliśmy obiad, była na pierwszym piętrze, obok niej gościnny pokój, przeznaczony dla przyjezdnych księży. Pokoje te były od ulicy na froncie, klasztor zaś nieco oddalony wstecz, przedzielony małym ogródkiem. Na dole sięń; obok, jak zwykle, mieszkanie odzwiernej.

Wychodząc zapowiedziałem jej, że powrócę o godzinie 10, i, żeby nie robić alarmu dzwonkiem, zapukam trzy razy do okna. Przez cały wieczór rozmawialiśmy z ks. kapłanem o św. Tomasz z Akwinu i o św. Teresie, i tak czas nam przeszedł miło aż do naznaczonej godziny. O dziesiątej już byłem na miejscu; odzwierna otworzyła mi drzwi, przyświecała mi

schodach i odeszła z powrotem. Zaraz zabrałem się do odmówienia moich kapłańskich pacierzy. Po odmówieniu ich otworzyłem drzwi od mojego pokoju do rozmownicy, i, przechadzając się po pokojach, rozmyślałem w dalszym ciągu nad tematem, o jakim wspólnie debatowaliśmy z ks. kapelanem.

Czas prędko przeleciał, była już północ. Zamknąłem drzwi od rozmownicy i udałem się na spoczynek. Zaledwom zgasił świecę, a usłyszałem wyraźne ludzkie stąpanie w sąsiednim pokoju. Widoczna, któraś z zakonnicy niebezpiecznie zachorowała, - pomyślałem, - i zapewne mam spieszyć ze Sakramentami świętymi.

Gdym więc usłyszał pukanie do moich drzwi, odezwałem się: „Entrez”. Noc była jasna, księżyc świecił w pełni.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy u progu stanęła zakonnica ze złożonymi na piersiach rękami, z czarnym welonem na twarzy, i z wolna postępowwała ku mnie. Strachu nie miałem żadnego; tylko głębokie poczucie powagi kapłańskiej, jakiej w tej chwili miałem użyć, odzywało się we mnie. Wnet też uczyniłem przed Bogiem taką intencję:

Będę do niej mówił myślą, ona mi zaś musi odpowiadać głosem; a przy tym, po dowodzie posłuszeństwa z jej strony, dowiem się, jaki to duch. - Cała ta intencja uczyniona była w jednym okamgnieniu. „Stój!” odezwał się myślą Stanęła Już wiedziałem, że duch jest dobry, posłuszny.

Następnie znowu zapytałem myślą: „Czego siostra chcesz?” Ona mi odpowiada głośno: „Niech Ojciec będzie tak dobry, i odmówi za mnie trzeci nokturn z jutrzni żałobnej, zaczynający się od psalmu: Expectans expectavi Dominum”. I zamilkła. - Pytam znowu myślą: „Co więcej?” Ona stoi w tej samej pozycji i milczy,

Czułem, że w mowie muszę być treściwy, że żadnych ubocznych pytań nie wolno mi zadawać.

Kiedy już nic więcej nie mówiła, podniosłem rękę i wskazałem ruchem, by wyszła. Wtedy ukloniła się z pokorną gracją, i, odchodząc wstecz ku drzwiom, kilka razy powtórzyła ukłon, aż w końcu wyszła i drzwi za sobą zamknęła. Słyszałem jeszcze to samo za drzwiami stąpanie, coraz cichsze i cichsze, za chwilę wszystko znikło. Powtarzam: żadnego lęku nie miałem. Zaledwo to wszystko się skończyło, prędko zapaliłem świecę, zarzuciłem burnus na siebie, i biegnę na dół po schodach w tej myśli, że to pewnie mnie straszyla odźwierna, więc może ją jeszcze dogonię. Z nagłą, w połowie drogi na schodach, posłyszałem głos w duszy: „Dokąd idziesz? Wróć się. Nie kompromituj siebie!” Ocknąłem się, zawróciłem, i wtedy ogarnął mnie strach. Dla pokonania go tłumaczyłem sobie, że to była silna moja wyobraźnia, jakaś dziwna halucynacja, itp. Wtem przypominam sobie, co mi była powiedziała owa zakonnica. Trzeci nokturn z jutrzni żałobnej, psalm: Expectans expectavi Dominum... Biorę brewiarz do rąk, szukam jutrzni żałobnej, i sprawdzam kolejno nokturny. Pierwszy? Nie! Drugi? Nie! Do trzeciego nie miałem już odwagi zajrzeć. Taki mnie strach ogarnął. Odkładam brewiarz i przechadzam się po pokoju, patrząc równocześnie na świecę, czy ta mi wystarczy na całą noc aż do rana. Duszno mi było, nieznośnie, otworzyłem okno i ujrzałem straże nocne w marszu na czatach. O, jakbym był rad przyłączyć się do nich!!! Wreszcie zdecydowałem się zobaczyć i nokturn trzeci, - patrzę, a oto wyraźnie: „Expectans expectavi Dominum!” Oczywiście odmówiłem ten nokturn - nawet kilka razy.

Ha! - pomyślałem za Hamletem, - więcej jest dziwów na świecie, niż się marzyło naszym filozofom.

Czy zjawisko to było prawdziwe, czy też tylko moją fantazją po dokonany niedawno pogrzebie. Sprzeczać się o to nie będę; niech sobie każdy tłumaczy, jak chce; podaję fakt, bo mi się przydarzył bez żadnych sprzeczek wobec osób, zaprzeczających prawdziwości takiego zjawiska.

W końcu, znużony walką moralną, poleciłem to wszystko Bogu, i udałem się na spoczynek. Nazajutrz odprawiłem za duszę tej zakonnicy Mszę świętą; opowiedziałem

Siostrzom o całym tern zajściu, i odjechałem do domu.

W tymże samym czasie stało się w Paryżu innego rodzaju zdarzenie, a chociaż nie wspólnego z nim nie miałem, pozwolę sobie jednak je tu opowiedzieć ze względu na poprzednie moje przejścia z Masoni w Ameryce i na przyszłe w Londynie, których epilogiem było dokonanie zamachu na mnie.

Pewien misjonarz przyjechał z dalekiego Wschodu i stanął w jednym z paryskich hoteli. Pewnego razu, późno w nocy, przybyło do niego dwóch panów z żądaniem, by zaraz z nimi jechał do chorego. Na próżno wymawiał się tern, że posługa taka należy do księży parafialnych, a on tu jest gościem tylko. Oni mu na to odpowiedzieli, że chory żąda właśnie jego, i prosili, by się spieszył, bo ów chory jest bliskim śmierci. Wtedy wraz z nimi pojechał do sąsiedniego kościoła po Sakramenty święte, i ruszyli w drogę. Powóz był kryty, więc misjonarz nie mógł zobaczyć, dokąd go wiozą. Jechali z jakie pół godziny, i w końcu stanęli przy jednej z ulic Paryża przed jakąś kamienicą. Wprowadzili go do niej przez głuche korytarze, o wielu tajemniczych zakrętach, aż w końcu jeden z nich otworzył drzwi do wielkiej sali, dokąd ksiądz zaprosił, sami zaś cofnęli się wstecz, zamykając drzwi za sobą: Misjonarz rozglądnął się wokoło: sala zdawała się pusta; postępuje więc dalej w głąb, i oto na drugim końcu sali widzi jakiegoś pana, siedzącego w krześle. Podchodzi do niego i pyta o wyjaśnienie swojego tak zagadkowego położenia. „Bądź ksiądz spokojny”, powiedział ów pan; „chorym tym jestem ja; niech to Cię nie dziwi; potem, po spowiedzi, rzecz całą objaśnię; tymczasem spieszymy, bo śmierć już blisko”. Po przyjęciu Sakramentów świętych oznajmił księdzu, że znajduje się w łoży masońskiej, i że on sam w tejże łoży piastuje wysoki urząd. Masoni skazali go zaś na śmierć za jakieś wykroczenie, ale w tej ostatniej chwili uczynili mu tę łaskę, że na jego prośbę sprowadzili mu księdza. Potem prosił misjonarza, żeby poszedł do klasztoru „Sacre Coeur” w Paryżu, i dwom jego córkom zakonnicom opowiedział wszystko, co się z nim stało, i polecił duszę jego ich modlitwom. Ksiądz zażądał tedy jakiegoś dowodu, by mógł się wylegitymować przed córkami, na 'co ów pan wyjął i kieszeni swój bilet, i parę słów na nim napisał. W końcu misjonarz włożył na niego poświęcony medalik z odpustami. W tejże chwili otworzyły się drzwi, i w progu stanęło trzech panów, dając znak skazańcowi, by szedł z nimi. Jeszcze raz uklęknął przed księdzem, prosząc go o błogosławieństwo, i wszyscy znikli. Kapłan wśród ciszy grobowej pozostał sam. Po kwadransie otwierają się drzwi, i ci sami panowie, którzy go tu przywieźli, dają znak do wyjścia. Prowadzą przez te same korytarze na ulicę, gdzie czekał powóz, do którego siedli i prędko odjechali. Misjonarz w ciągu drogi nie mógł się zorientować, jakimi ulicami jedzie, nie pytał o nie, ani też żaden z tych panów słowem się doń nie odezwał. W końcu powóz zatrzymał się na jednej z ulic. Wówczas ci tajemniczy panowie otworzyli drzwiczki, księdza wyprosili, a sami odjechali. Nasz ksiądz zwykłym fiakrem powrócił do hotelu.

Ale nazajutrz udał się do trupiarni, w której wystawiano trupy samobójców i innych osób celem ich rozpoznania. Zrazu trudno mu było rozpoznać zwłoki owego byłego Masona, gdyż wszystkie trupy były nakryte prześcieradłami.

W końcu na jednym z nich poznał zawieszony na szyi swój medalik, i zobaczył trzy cięte znaki, jakoby ostrym rylcem zadane. Nie miał już tedy wątpliwości, że to zwłoki owego tajemniczego pana. Zaraz też poszedł do klasztoru Sercanek, gdzie córkom nieboszczyka opowiedział szczegółowo o śmierci ich ojca, i wręczył własny jego bilet. One wiedziały, że ojciec ich piastuje w łoży masońskiej jakąś wysoką godność, bolały nad tern bardzo, ale zaradzić temu nie mogły. Na wiadomość o śmierci ojca, która nastąpiła po pojednaniu się z Bogiem, wyraziły ze łzami w oczach wdzięczność swą księdzu, i zajęły się pogrzebem.

Misjonarz ten opowiedział potem całe to zdarzenie Arcybiskupowi paryskiemu.

XXIII Londyn.

Arcybiskup londyński Kardynał Manning prosił naszego Generała, Ojca Semenenkę, aby mu dał kapłana z naszego Zgromadzenia do misji polskiej w Londynie. Nie była to łatwa sprawa do rozstrzygnięcia. Reguła nasza nic pozwalała mieszkać samemu, a nie było na to funduszu, aby aż kilku księży w Londynie utrzymać. Z drugiej znowu strony odmówić tak zacnemu księciu Kościoła, szczeremu przyjacielowi Polaków, zdawało się niemożliwym. Postanowił więc O. Semenenko tak urządzić, ażeby misję londyńską przyłączyć do Paryża, i w tej myśli, jakoby to był dom jeden, wysłał mnie do Londynu.

Polacy, tam zamieszkali, składają się przeważnie z ludzi, pracujących po fabrykach; sami nie byli oni w stanie utrzymać wśród siebie księdza; wspomagał mnie przeto materialnie dom paryski, a w Londynie opiekował się mną Lord Derby, wielki przyjaciel Polaków. Mieszkałem przy pewnej rodzinie angielskiej, gdyż nie znalazłem odpowiedniego dla siebie domu polskiego. Później dopiero przeniosłem się do domu pewnego Polaka, ożenionego z Angielką, gdzie również trzeba było mówić po angielsku. W Londynie niewiele miałem pracy wśród Polaków. Po całych tygodniach zajęci w różnorodnych fabrykach, tylko w niedzielę zbierali się na nabożeństwa; w ciągu tygodnia nigdy żadnego ani widzieć nie mogłem. Wszystkie więc obowiązki parafialne, jak chrzty, śluby itd., odbywały się w niedzielę, chyba, że kto zachorował i trzeba było zaraz spieszyć z Sakramentami świętymi. W dni powszednie odprawiałem zwykle Msze święte we włoskim kościele, a w niedziele i święta odbywały się nabożeństwa dla Polaków w suterrenach tegoż kościoła.

Korzystając z tyle wolnego czasu, pragnąłem poznać' towarzystwo angielskie. Duchowieństwo w Anglii, bez różnicy wyznań, należy do klas wyższych, do arystokracji, do której przystęp bardzo łatwy, wystarczy bowiem przy wręczeniu swego biletu przedstawić się jako kapłan miejscowy. Zwykle recepcje odbywały się o godzinie piątej wieczorem, t. zw. „five o'clock”. Życie rodzinne u Anglików jest tak wzorowe, jak nigdzie podobnego nie widziałem. Dom u nich to jakoby świątynia, gdzie każdy w nastroju biblijnym spędza życie patriarchalne, niemal aż do przesady. Do wspólnego spożywania pokarmów zwykle ubierają się świątecznie, jakby na uczczenie jakiegoś niezwykłego gościa. Z tern wszystkim takie to u nich swobodne, pełne wyrazu prawdy, prostoty, że czuje się wśród nich, jakby u siebie w domu. Gościnność szczerą, bez wymuszenia.

Dlatego miłe jest obcowanie z nimi, szczerota prawdy widnieje wszędzie. Niema u nich tej giętkiej, uprzedzającej grzeczności, jaką się widzi w towarzystwie francuskim, ale jest coś swojskiego, domowego, co od razu zjednywa zaufanie.

Anglik robi na mnie wrażenie, że mówi zawsze prawdę; lecz wobec nieznanego zawzięcie milczy. Gdy się zaś obcuje z Francuzem, trzeba bardzo uważać i niedowierzać jego etykietalnej grzeczności. I tak np. gdy Anglik zaprasza na obiad, to czyni to szczerze; Francuz prosi tylko z grzeczności, i w szczerota tych zaprosin wierzyć nie należy.

Będąc jeszcze w Paryżu sam się przekonałem o wartości tej kłamliwej etykiety francuskiej. Otóż pewien Francuz zaprosił jednego z naszych emigrantów na obiad. Ten zaproszenie przyjął. W jakiś czas potem ów Francuz powiada mi, że mój ziomek jest bez wychowania.

- „Dlaczego?” pytam zdziwiony. „Bo przyszedł do mnie na obiad!”

„Aleś pan go przecież zaprosił...”

„To prawda. Lecz on powinien wiedzieć, że to były zaprosiny tylko takie... z grzeczności”.

- Więc kiedyż będą prawdziwe?

Wtedy, gdy go będę prosił po kilka razy i gdy mu wreszcie pošlę bilet z zaproszeniem, oznaczając dzień i godzinę”.

Jakże inaczej w Anglii! Tam grzeczność nigdy nie mija się z prawdą. To też i to jest charakterystyczne: Polak, zamieszkały w Paryżu, tracąc wiarę, staje się kompletnym ateuszem, w Londynie zaś przejdzie 'wprawdzie na protestantyzm, ale musze w coś wierzy.

Pewnego razu otrzymałem list z poczty, zawiadamiający mnie, że w jednej z dzielnic Londynu przy ulicy A. pod liczbą N. mieszka Polak, który jest umierający; proszono mnie tedy, bym spieszyl do niego z Sakramentami. Zrazu niedowierzajaco tę wiadomosc przyjalem. Kiedy mnie jednak poinformowano, że w mieście istnieje Stowarzyszenie, które wyłącznie tern tylko się zajmuje, aby w niebezpieczeństwie śmierci jakiegoś chorego zawiadomić o tym właściwego kapłana, zaraz do chorego pospieszyłem.

Jechałem tramwajem blisko godzinę, aż stanąłem na oznaczonym mi miejscu. Jakaś Angielka otworzyła mi drzwi. Zapytałem, czy tu mieszka Polak pan J. Odpowiedziała mi, że tak. Zauważyłem też od razu na jej twarzy zdziwienie i zakłopotanie z powodu mojej tak niespodziewanej wizyty. Domyślała się, że kapłan katolicki i zaraz na wstępie powiedziała, że Polak ów jest protestantem. „Mam do niego interes”, odezwałem się, „i widzieć go pragnę”. Odeszła.

Po chwili zjawił się jakiś pan, Anglik, i znowu mi prawi to samo, dodając, że pan J. widzieć się ze mną nie może, gdyż jest bardzo chory, a ta wizyta księdza mogłaby go niebezpiecznie przstraszyć. Odpowiedziałem na to, iż nie odejdę stąd, póki się z nim nie zobaczę. Gdy się Anglik oddalił, pozostałem sam w pokoju, wśród głuchoj ciszy jakie 10 minut - aż wreszcie poproszono mnie do chorego. Był to stary emigrant z 31 roku - istny szkielec, tak wycieńczyła go śmiertelna choroba.

Przyjął mnie zimno, nieprzyjaźnie, okazując wyraźnie gniew z powodu mojego przybycia.

„Czego pan chcesz?” odezwał się do mnie po angielsku. Ja mu odpowiadam po polsku: „Dowiedziałem się, żeś pan chory, i przychodzę odwiedzić mojego rodaka”. On znowu po angielsku: „Ja pana nie znam; jestem protestantem; idź pan sobie i nie męcz mnie”. Ja na to: „Chociaż protestantem, przecież zawsze Polakiem; mówmy po polsku, i bądź pan spokojny, życzliwość moja mnie tu sprowadził”. Wówczas chory zmienił nieco swój wyraz twarzy, i począł mówić po polsku. Z początku mówiliśmy o rzeczach patriotycznych, o Ojczyźnie itp. 'Wreszcie widząc, że niema czasu do stracenia, gdyż śmierć. wyraźnie się zbliżała, przystąpiłem do rzeczy. Przekonałem się, że wierzy w nieśmiertelność duszy; ale dziwnie wyrozumował sobie życie przyszłe, w jakimś raj, jako nagrodę za cierpienia, poniesione dla Ojczyzny. Użyłem więc następującego argumentu: „Jak pan sądzisz, gdzie znajdziesz się w wieczności, czy wśród Polaków, czy cudzoziemców?”

- „Naturalnie, że wśród Polaków. Wszak jestem Polakiem i tyle dla Polski wycierpiałem”.

„Grubo się pan mylisz. Polacy pana nie przyjmą, zaparłeś się ich wiary, dopuściłeś się hańby wobec Batorych, Sobieskich, Kościuszków, swoich rodziców, narodu, uciekłeś od nich”. Zatrwożył się staruszek, ogarnął go wyraźny lęk, począł płakać, biadając nad swoim nieszczęściem. Uspakajałem go, tłumacząc, że można jeszcze to złe naprawić, gdyż oto miłosierdzie Boże przysłała mu w tej ostatniej chwili ratunek w osobie kapłana Polaka. W końcu sam prosił o ten ratunek i wyspowiadał się. Następnie poszedłem do najbliższego kościoła po Sakramenty święte. Cała jego rodzina, choć protestancka, pocziwie się znalazła w tym zdarzeniu: przygotowali stół, nakryli czystym obrusem, zapalili dwie świece i postawili krucyfiks, a w czasie Komunii świętej wszyscy klęczeli. Po przyjęciu Sakramentów świętych chory życie zakończył. Pogrzebem zajęła się rodzina, a odbył się po katolicku. Jakże inaczej w podobnym przypadku postąpiono sobie ze mną w Paryżu! Tam nie tylko, że mnie nie dopuszczono do umierającego rodaka, ale ponadto z obelżywymi słowami, niemal wyrzucono za drzwi.

W Londynie znowu musiałem rozpocząć walkę z Masonami. Tak samo jak w Chicago i tu również Polacy wpisywali się do ich tajnych stowarzyszeń, celem uzyskania materialnych korzyści. Powstawałem przeciw temu głośno, przestrzegałem, objaśniałem, jak to Kościół, grożąc ciężkimi karami, zakazuje do nich należeć. W końcu dnia 29 listopada, jako w rocznicę powstania, miałem patriotyczne kazanie, w którym napiętnowałem ich niegodziwe czyny. Potem, przy pomocy jednego z ziomeków, znającego dobrze język angielski, przetłumaczyłem je i podałem do druku. Następnie kilkaset egzemplarzy tego kazania porożylałem do rozmaitych domów w Londynie. Może to był z mej strony krok za śmiały, nieroztropny, dość, że tak go potem nazwał ks. Kardynał Manning.

To też o mało co nie przeplącałem go życiem. Po jakimś czasie przyszła pewna Angielka do państwa, u których mieszkałem, i oznajmiła im, iż ukuto spisek przeciw polskiemu księdzu, w celu zamordowania go. Nie chcieliśmy temu wierzyć i ja też ani na chwilę nie przypuszczałem, iżby ta wiadomość mogła być prawdziwą, i nic sobie z tego nie robiłem. Ale co się pokazało! Jak już wyżej wspomniałem, odprawiałem Msze święte co dzień o godz. 10-tej z rana we włoskim kościele, zawsze przed wielkim ołtarzem.

Pewnego razu, przygotowując się do Mszy świętej, kazałem zakrystianowi zapalić świecę przy bocznym ołtarzu św. Józefa. On mi tłumaczył, że Msza musi być przed ołtarzem głównym, gdyż ktoś ofiarował sześć wielkich świec w intencji, by się paliły w czasie tej Mszy świętej. Sam nie wiem, dlaczego nie chciałem na to zezwolić, i powiedziałem zakrystianowi: „Więc niechże świece te palą się na ołtarzu głównym, a ja pójdę do św. Józefa”. I tak się też stało. Aż oto w czasie konsekracji na głównym ołtarzu wybuchła straszna eksplozja, świeca jedna wystrzeliła, roznosząc drzazgi niemal po całym kościele. Szczęściem, iż nikogo nie było wówczas w prezbiterium koło wielkiego ołtarza. Jak się pokazało, świeca była napełniona prochem.

Niedługo potem drugi zamach już był obmyślony skuteczniej; ale i on się nie udał. Pewnego dnia zbrodniarz czekał całą godzinę na mnie ze sztyletem i rewolwerem przed drzwiami kościoła, którymi zwykle wchodziłem. Tym razem, odmawiając brewiarz po drodze, zmyliłem kierunek i innymi drzwiami wszedłem do kościoła. Już rozpocząłem Mszę św., a złoczyńca wciąż jeszcze czuwał przy drzwiach kościelnych. Kiedy wreszcie spostrzegł, że Msza św. już się zaczęła, zjawił się w kościele, podszedł do balustrady przed ołtarz, wymierzył we mnie i strzelił. Rozległ się krzyk ogromny; ja sądziłem, że kogoś zabito; przerwałem wtedy Mszę świętą, bo byłem dopiero na początku, przy pierwszej Ewangelii, i chciałem spieszyć z udzieleniem ostatniej absencji. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem przed sobą człowieka, który mierzy we mnie i strzela po raz drugi. Pierwsza kula poszła górą, druga przeleciała koło nóg i utkwiała w antypedium ołtarza. Nie wiedząc, co mam począć, zwróciłem się po chwili namysłu do zakrystii, tuż obok ołtarza. Ledwo zbliżyłem się ku drzwiom, strzelił po raz trzeci. Ta kula świsnęła mi koło ucha i utkwiała w drzwiach zakrystii, do której nie mogłem się dostać, bo mój ministrant, uciekając tędy, zamknął drzwi za sobą. W kościele tymczasem coraz większy zgiełk, krzyk, coraz liczniej gromadzą się ludzie z ulicy. Widzę, jak z poza filarów podchodzą policjanci, aby napastnika pojmać. On zaś grozi wszystkim rewolwerem i sztyletem.

Zdaje się, że po trzecim strzale, który był najgroźniejszy, stracił, wskutek zamieszania i krzyku obecnych, na chwilę przytomność umysłu, bo mógł mnie przecieć bardzo łatwo zasztyletować, gdy, cofając się od drzwi zakrystii, obok niego przechodził.

Ze względu na publiczność, by kule w jej stronę nie leciały, zwróciłem się znowu do ołtarza, on zaś strzelił po raz czwarty i... znów chybił. Wtedy to mnie już zniecierpliwilo i postanowiłem się bronić; chwyciłem więc krzesło, na którym zwykle siada celebrans w czasie kazania, i podniosłem je, by go uderzyć w głowę, lecz równocześnie spostrzegłem, że w

ornacie, że bić się nie wypada, i za ledwo krzesło postawiłem na ziemię, on strzelił po raz piąty i kula utrafiła w nie, w to samo miejsce, gdzie przed chwilą była moja dłoń. Widząc to ludzie, pochwycili mnie i wyprowadzili z kościoła do sieni, jego zaś szczelnie otoczono. Ale mimo, że w kościele było już około 30 policjantów, żaden nie miał odwagi go pojmać. I oto co się stało. Na ołtarzu zapaliły się od strzałów koronki i obrus. Wtedy dwie śmiałe i odważne Angielki porozumiały się między sobą a udając, że spieszą gasić pożar, który ogarniał już cały ołtarz, przeszły spokojnie obok niego i minęły go; ale wnet potem, gdy nie zwracał na nie uwagi, dały sobie znak i nagle rzuciły się na niego, schwyciły z tyłu za ręce, padły na ziemię i obaliły go. Wnet też inni ludzie rzucili się na niego, poczęli go bić, kopać obcasami tak, że byliby go zamordowali, gdyby nie policjanci, którzy go skrwawionego podnieśli i odprowadzili na stację policyjną. Zaraz też przyszedł i po mnie celem spisania protokołu. Kiedym przybył do kancelarii, widziałem go tam już w klatce żelaznej umieszczonego. Podeszedłem ku niemu, zapytałem, jak się nazywa i dlaczego chciał mnie zabić. Ale złoczyńca nic nie odpowiadał. Wtedy też miałem sposobność przekonania się, jak niezwykle czujną jest policja londyńska i jakie szczegółowe informacje posiada o każdym z mieszkańców Londynu.

Oto w kilka dni potem wezwano mnie do biura dyrektora policji. Przyjął mnie grzecznie i z wielkim szacunkiem, przeprosił, że jego pytania mogą mi się wydać niedyskretne, ale z powodu tak przykrego wypadku prosił o wyrozumiałość. Otworzył księgę i z jej notatek odczytywał wszystkie szczegóły całego mojego życia: gdzie się urodził, gdzie chodził do szkół, kiedym wyświęcił się na kapłana, następnie emigrował z kraju itd. Kolejno to wszystko przeczytał aż do mojego przybycia do Chicago; tu się zatrzymał i zapytał: „Co ksiądz miałeś do czynienia z Masonami w Ameryce?” Opowiedziałem mu wszystko, jak było. On zaś odezwał się w te słowa: „Strzały te mają związek! - Chicago; był tu ktoś stamtąd i zamach ten obmyślił, a wykonawcą jego jest najęty Włoch karbonariusz. Ten ktoś uciekł do Berlina; telegrafowałem do tamtejszej policji, by go pojмали; otrzymałem jednak odpowiedź, że i tam go już nie ma”. Jak się potem podczas śledztwa pokazało, złoczyńca kupił rewolwer we czwartek, sztylet w piątek, a w sobotę spełnił zamach.

W miesiąc później odbyła się rozprawa sądowa, na której byłem przez cały czas obecny. Trzech adwokatów jego broniło. W końcu po skonstatowaniu faktu zbrodni, gdy 12 przysięgłych orzekło wyraźnie winę, sędzia skazał go na dożywotnie ciężkie więzienie.

W dziesięć lat potem dowiedziałem się, że w więzieniu zakończył nędzne swe życie. Zbrodnia ta w całym mieście wywarła ogromne wrażenie. Strzelać do księdza, i to jeszcze w kościele, to rzecz niesłychana w Anglii. Wszystkie dzienniki z oburzeniem na to uderzyły. Wszędzie, po wszystkich ulicach ilustracje przedstawiały tę zbrodnię. Powinszowań od rozmaitych osób otrzymałem setki, „wiele też od pastorów protestanckich.

Między innymi pewna bogata Angielka, wdowa, z odległej prowincji, przysłała do mnie swego pełnomocnika z propozycją następującą: Oto z wyrazem uznania tak cudownego ocalenia, zaprasza mnie na stałe mieszkanie do swojego majątku, obiecuje zbudować kościół, dom na mieszkanie, a przy tym odpowiednio uposażyć wieczystym kapitałem. Odpowiedziałem plenipotentowi, że nie mogę na razie dać żadnej odpowiedzi, gdyż należę do Zgromadzenia, muszę z tym odwołać się do mojego Jenerała, a odpowiedź zakomunikuję mniej więcej za dwa tygodnie. Ojciec Jenerał odpisał na to, że ofiarę tej pani z wdzięcznością przyjmuje, ale przystać nie może, abym u niej pozostał na zawsze, gdyż toby znaczyło, że się jej zaprzędał... Owa pani nie była zadowolona z takiej odpowiedzi, i ofiarę swą cofnęła.

Wkrótce po tych strzałach, Ojciec Jenerał, z obawy, by zamach się nie powtórzył, odwołał mnie z Londynu. Oznajmiłem to Kardynałowi Manningowi. „Nie mogę”, rzekł Kardynał, „sprzeciwiać się rozporządzeniom Twojej władzy zakonnej; napisz jednak jeszcze ode mnie do O. Generała tę uwagę: Nie wypada, aby kapłan katolicki, znajdujący się w kraju protestanckim, uciekał dlatego, że zamach mogą powtórzyć; trzeba zaufać Bogu i tu pozostać

choćby jeszcze przez pewien czas, jeżeli dłużej nie można. Skoro P. Bóg już raz Ciebie tak cudownie ocalił, to ufajmy, że i znowu ocali”. Ojciec Jenerał zastosował się do życzenia Kardynała, i ja pozostałem w Londynie jeszcze osiem miesięcy.

Po niedługim czasie otrzymał Kardynał list bezimienny z zapewnieniem, że zamach na mnie nie będzie już powtórzony, chyba bym na nowo w czymś zawinił wobec masonerii. Nim jednak to zawiadomienie nadeszło, umyśliłem tymczasem następującą ostrożność: Odprawiałem Msze święte, prócz niedzieli i świąt, co dzień w jakimś innym kościele. Nie mówiłem też nikomu, gdzie następnego dnia będę miał Mszę świętą. Otóż tu miałem raz zabawne zdarzenie: Pewnego dnia przyszedłem do kościoła OO. Dominikanów. Opowiedziałem się w zakrystii, kim jestem, a Ojcowie sami domyślili się, dlaczego z taką ostrożnością postępuję. Obrałem się w ornat i czekam na usługującego. W zakrystii nie było wówczas nikogo. Stoję tak w ubraniu z jaki kwadrans i nikt się nie zjawia. Wreszcie zdejmuję z siebie szaty kapłańskie i idę na korytarz klasztorny, tuż obok zakrystii położony, aby się dowiedzieć, dlaczego nie dają mi żadnego ministranta. I oto, co się dowiedziałem: Ojciec ów, któremu się w zakrystii opowiedziałem, urządził następującą krotoczwilę: Poszedł do najstarszego braciszka, 76 letniego starca, i tak mu prawi: „Wiesz, Bracie, przyszedł tu ze Mszą świętą O. Bakanowski, ten sam, do którego strzelali. On teraz dla ostrożności co dzień w innym kościele odprawia Mszę świętą. Rzecz niebezpieczna, mogą napaść go i tutaj. Myśleliśmy z Ojcem Przeorem, kog oby mu dać do służenia. Młodych żal, gdyż jeszcze długo mogą służyć Bogu. Ty, Bracie, już stary jesteś, nie wiele tobie pozostaje życia, poświęć tę resztę Bogu, idź posłużyć Ojcu Bakanowskiemu, a może zaszczytnie dla naszego Zakonu zostaniesz męczennikiem przy ołtarzu Pańskim”. Biedny starzec wymawiał się, jak mógł, dowodząc, że w podobnym przypadku młody byłby odpowiedniejszy, że w zamieszaniu prędzej sobie i księdzu da radę.

Nic nie pomogły jego tłumaczenia, Ojciec ten w imieniu Przeora rozkaz powtórzył i wyszedł z celi. Wyszedł też i ów braciszek, ciężko zakłopotany; ale, jak się ukrył gdzieś w najciemniejszy kąt klasztoru, tak nie pokazał się aż dopiero na obiad! I ta właśnie była przyczyna, dla której w zakrystii tak długo czekałem na ministranta. Całą tę scenę urządził ów Dominikanin sam od siebie bez zawiadomienia Ojca Przeora.

XXIV Odjazd do Galicji.

W tymże czasie, tj. roku 1880 otrzymaliśmy od rządu austriackiego pozwolenie na osiedlenie się w Galicji.

Na wezwanie O. Jenerała Semenienki pojechałem z Londynu do Dźwiniaczki, aby objąć obowiązki kapelana we dworze p. Koziębrodzkiej. Tam rozpoczęła się pierwsza nasza praca w Galicji. P. Koziębrodzka ofiarowała nam w dobrach swoich, w Wołkowcach, dwór wraz z obszernym ogrodem na klasztor i zakład wychowawczy dla młodzieży, pod warunkiem, że jeden z nas stale mieszkać będzie u niej w Dźwiniaczce. Na tę więc kapelanię mnie przeznaczono. Ale tu położenia mojego wcale nie rozumiałem.

Jeżeli po czynnym a szerokim życiu amerykańskim nie przypadła do mojego usposobienia kapelania u zakonnic w Jazłowcu, to tu dopiero, po pracy w Londynie, a poprzednio w Paryżu, w dziwnie zagadkowej znalazłem się sytuacji. Dwór, a w nim trzy panie, wdowy, 10 garderobianek, kilku lokajów, kucharzy, i, jak zwykle, gospodarstwo wiejskie z całym zasobem dworskiego inwentarza. Ale próżne utyskiwania! Posłuszeństwo każe zastosować się do bieżącej chwili, i trzeba sobie było znaleźć odpowiednie zajęcie: \:Ve dworze była publiczna kaplica, gdzie w niedziele i święta gromadził się lud tejże wsi na nabo-

żeństwa. Urządziliśmy z p. Koziębrodzką porządek dziennej pracy we dworze i w tym celu wprowadziliśmy dzwonek na oznaczenie rozmaitych obowiązków. Co dzień była Msza święta, wieczorem zaś Różaniec wspólny, w ciągu dnia czytanie duchowne, katechizacja i tym podobne ćwiczenia pobożne. W Wołkowcach, oddalonych o jakie 5 kilometrów od Dźwiniaczki, mieszkali nasi Ojcowie Krajewski i Skrochowski z jednym braciszkiem. Chcieliśmy tam urządzić zakład wychowawczy dla chłopców, ale po pewnym przeciągu czasu przekonaliśmy się, iż, z przyczyny oddalenia i utrudnionej komunikacji, było to zgoła niemożliwym; musieliśmy więc to miejsce opuścić. Wołkowce leżą na samej granicy Besarabii, po tej stronie Dniestru. Stąd, gdy zimową porą Dniestr zamarzył, wilki besarabskie przychodziły do naszego ogrodu i w nocy zagłądały nam do okien. W tym samym czasie rozpoczęliśmy także pracę we Lwowie. Po kilku miesiącach pobytu w Dźwiniaczce, wezwał mnie więc O. Kalinka do Lwowa, gdzie znowu rozpocząłem swój zawód kaznodziejski.

XXV Lwów.

Przybyłem, tu w ostatnich dniach karnawału 1881 roku i zaraz w Środę popielcową rozpocząłem kazania wielkopostne. Mówiłem co dzień przez cały Wielki Post, mimo choroby, spowodowanej przemęczeniem; kładłem się więc do łóżka, na czas jednak kazania musiałem wstawać i iść na ambonę. O. Kalinka umiał znakomicie wyzyskiwać ludzi, których miał około siebie, i do odpowiedniej używać ich pracy. W Wielkim Tygodniu rozdzieliliśmy kazania między siebie. Podczas jednej rekreacji porozdawał nam O. Kalinka tematy do kazań i zanim poczęliśmy się do nich przygotowywać, już naprzód ogłosił plakatami, kto i o czym mówić będzie. Czasu do przygotowania było niewiele, tylko dwa, trzy dni; a tematy tak niezwykle, iż znikąd żadnej myśli nie mogliśmy zaczerpnąć. Trzeba było wszystko wysnuć z głowy, a tu czas naglił! Jakże radzi byliśmy w końcu, żeśmy i tę trudność pokonali i kazania nasze wielkopostne szczęśliwie zakończyli. Z całym zadowoleniem wypoczynku obchodziliśmy Wielkanoc, Dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

Oprócz kazań w naszej kaplicy, bardzo często kazałem też i w innych kościołach lwowskich; niekiedy tak wypadło, że w jednym dniu aż cztery razy.

Z polecenia O. Kalinki wykładałem religię w trzech żeńskich pensjonatach, sam zaś brałem lekcje śpiewu i co niedzielę i święta śpiewałem na chórze w czasie Mszy świętej.

Płynęły tak dni i lata spokojne wśród ciągłej a miłej pracy. Tymczasem nadchodził rok 1886, który nas okrył grubą, bo podwójną żałobą. W listopadzie umarł bowiem w Paryżu nasz O. Semenenko; w miesiąc później straciliśmy ojca Kalinkę.

Zdrowie jego od dawna nie było dobre. Jednakże nie przeczuwaliśmy tak rychłego zgonu, tym więcej, że O. Kalinka liczył dopiero 60 lat i zdawało się nam, że kuracje w Kaltenleutgeben i Scheveningen przywróciły mu stargane siły. Atoli, z nastaniem jesieni, objawiło się zapalenie opon mózgowych, do czego przyczyniła się prawdopodobnie wieść o śmierci O. Semeneki. Przy łożu chorego odbywały się codziennie konsylia lekarskie, na które przybywali najznakomitsi lekarze lwowscy jak Opolski, Janda, Szuszkiewicz, Widman, Biesiadecki i Hoszard. Zwłaszcza - czcigodni panowie Opolski i Szuszkiewicz z niesłychaną pielegnowali go starannością. Odwiedzali go po kilka razy dziennie, czuwali przy jego łożu nieraz całymi godzinami i starali się wszelkimi sposobami, jakie im dawała wielka ich umiejętność lekarska, uratować tego człowieka, który jako pisarz, jako historyk i jako kapłan

był tak wielką chlubą naszego narodu. Mimo tylu zabiegów stan chorego się pogarszał, nastąpiła utrata przytomności, trwająca bardzo długo, bo aż trzy tygodnie.

Jednakże na kilka godzin przed śmiercią O. Kalinka - odzyskał przytomność i zaraz poprosił o udzielenie mu Sakramentów świętych. Wyspowiadał się przed O. Smolikowskim, po czym ja podałem mu Komunię św. i zaopatrzyłem Olejami świętymi. Gdy mu podawał Najśw. Sakrament, wymawiając wyrazy: „Ecce Agnus Dei itd.”. O. Kalinka dał znak, bym się zatrzymał i w te odezwał się słowa: „Dziękuję Ci, Panie Boże, za tę łaskę, że umieram wśród moich braci i że przyjmuję Komunię św. z rąk kapłana, z którym rozpocząłem tutaj pracę”. Następnie przyjął Wiatyk. Po dziękczynieniu znów rozmawiał bardzo przytomnie z nami wszystkimi, zachęcał nas rzewnie do miłości bratniej i do ufności w Opatrzność Boską. A gdyśmy go pocieszali, że przecież wyzdrowieje, chociażby ze względu na to, że nam tu jeszcze jest potrzebny w zarządzie Internatu, odpowiedział: „Nie; żyć już nie będę; ale nie obawiajcie się, dacie sobie radę i beze mnie”. Wtedy któryś z nas napomknął: „Ależ Ojciec wyzdrowieje, bo musi dokończyć swój Sejm czteroletni”. Na co O. Kalinka: „Ależ co mówicie! Gdzieżby P. Bóg dla takiej świeckiej sprawy przedłużał mi życie! Bądźcie spokojni i ufajcie Bogu!” Wnet potem znowu stracił przytomność na zawsze. Wkrótce nadszedł dr Opolski, a słysząc o tern wszystkim mówił, że to był cud, bo w stanie, w którym się znajdował O. Kalinka, powrót przytomności, chociażby na krótki czas, zdawał się wykluczonym.

Od wtorku w południe (14 grudnia) zaczęła już gasnąć iskra życia. W środę wieczorem zaczęła się agonia, która się przeciągnęła przez całą noc; w czwartek z rana skonstatował dr Szuszkiewicz zupełne porażenie, a o godzinie 10-tej przed południem (16. grudnia) O. Kalinka oddał Bogu swego ducha nieśmiertelnego.

W półtora roku potem (we wrześniu 1888 roku) pojechałem do Krakowa, gdzie objąłem przełożenie w domu naszym, z którego był ustąpił ks. Leon Zbyszewski. Po piętnastu latach przeniesiono mnie do Wiednia w roku 1902 - a stamtąd w roku 1908 znów do Lwowa.

Mógłbym jeszcze wiele innych rozmaitych zdarzeń z życia mojego opowiedzieć, ale na tern już zakończę. Da P. Bóg życia, to będę pisał dalej, choćby dla pozostawienia dalszych swoich pamiętników w archiwum naszego Zgromadzenia. Tymczasem to, co napisałem, za wiedzą władzy mojej zakonnej podaję do druku.

KONIEC.